

Powiększony numer „Odrodzenia” całkowicie poświęcony 70-leciu urodzin Józefa Stalina ukaże się dnia 18 grudnia 1949 r.

Zamówienia kierować do Prenumeraty „Czytelnika” W-wa, Wiejska 14

ODRODZENIE

TYGODNIK

Cena 25 zł

Warszawa, dnia 4 grudnia 1949 r.

Rok VI Nr 49 (262)

YVES FARGE
znany publicysta, redaktor „Action”

GDZIE SIĘ PODZIAŁ MILIARD?



Yves Farge

Nie możemy pominąć milczeniem żartobliwej pogawędki, jaka wywiązała się na konferencji prasowej w poniedziałek 14 listopada pomiędzy generałem de Gaulle i dziennikarzami.

Uczestnicy konferencji dowiedzieli się, że Francja otrzymała miliard franków na propagandę planu Marshalla, to znaczy na propagandę amerykańską.

— Gdzież się podział ten miliard? — zapytał z uśmiechem generał de Gaulle i dodał — Wy powinniście o tym wiedzieć, panowie dziennikarze.

Po czym zaczęto mówić o czym innym.

Fakt, że podobna pewność nie wywołuje oburzenia ze strony tego, który ją wyraża, jest dobrą ilustracją naszych obyczajów politycznych.

Fakt, że dziennikarze i dzienniki, które postawiono pod podobnym oskarżeniem, odpowiadają milczeniem, jest sam w sobie wyznacznikiem.

Prawdą jest bowiem, że generał de Gaulle mógł mówić o tym fakcie nie podnosząc głosu. Prawdą jest również, że ten epizod konferencji pominięty został przez wszystkie dzienniki, które od dwóch lat okłamują Francję, jeśli chodzi o wiadomości dotyczące planu Marshalla, Paktu Atlantycznego i kwestii niemieckiej. Miliard, to jednak pewna suma! W jaki sposób została rozdzielona?

To pytanie powinni zadać sobie dzisiaj wszyscy Francuzi. Jeśli milczenie będzie trwało dalej, trzeba będzie po kolei pytać wszystkie dzienniki, które już od dwóch lat toną w kłamstwie importowanym z Ameryki, kłamstwie, rozpowszechnianym w milionach egzemplarzy na nieszczęście udręczonej Francji.

Dlatego, że kraj nasz jest zdrow, że jest dumny — nie zgadzamy się — my przynajmniej — przyjmować uśmiechem oświadczenia generała de Gaulle.

Jeśli rząd waszyngtoński posłużył się przekupstwem, musimy znać tych, którzy jemu ulegli.

(„Action”, nr 268)



Dnia 24 listopada b. r. o świcie, policja francuska, pod osobistym dowództwem Mocha dokonała najeżdża na obywateli polskich w Paryżu.

Do redakcji i współpracowników „EUROPE”, „LA PENSÉE”, „LES LETTRES FRANÇAISES”, „ACTION”, „LA NOUVELLE CRITIQUE”

MY, obywatele kraju, którego synowie brali udział we wszystkich ruchach rewolucji francuskiej aż po Ruch Oporu ostatniej wojny, kraju, który dał Francji górników, robotników rolnych, profesora Sorbony i redaktora „Trybuny Ludów” Adama Mickiewicza, dwóch generałów Komuny Paryskiej Walerego Wróblewskiego i Jarosława Dąbrowskiego, Fryderyka Chopina, Marię Curie-Skłodowską i poetę Apollinara - Kostrowickiego.

MY, obywatele kraju, któremu Francja dała nie tylko swoich synów, którzy walczyli razem z nami we wszystkich naszych ruchach rewolucyjnych, ale również myśl postępową od Woltera, Jean Jacques Rousseau, Mably'ego — aż do Anatola France'a, Henri Barbusse'a, Romain Rollanda, Louis Aragona, Paul Eluarda,

ZAPEWNIAMY was, jako nosiciele najpiękniejszych myśli i tradycji narodu francuskiego, że rozumiemy wasze oburzenie i gorycz, że władza we Francji znajduje się w ręku Jules Mocha, który w sposób uwłaczający godności narodu francuskiego nakazał aresztować, katować i wyrzucać Polaków.

Wyrażamy głębokie przekonanie, że doczekacie się — tak jak my — rządu i ustroju godnego swego narodu.

Współpracownicy i zespół redakcyjny „Odrodzenia”

NOUS, citoyens d'un pays, dont les fils ont pris part à tous les mouvements révolutionnaires français ainsi qu'au mouvement de la Résistance de la dernière guerre, d'un pays qui a donné à la France des mineurs, des ouvriers agricoles, un professeur de la Sorbonne et rédacteur de „La Tribune des Peuples” Adam Mickiewicz, deux généraux de la Commune de Paris Walery Wróblewski et Jarosław Dąbrowski, Frédéric Chopin, Marie Curie-Skłodowska et le poète Apollinaire-Kostrowicki,

NOUS, citoyens d'un pays auquel la France a donné non seulement ses fils qui ont combattu à nos côtés lors de tous nos mouvements révolutionnaires, mais encore les idées progressistes aussi bien des Voltaire, des Jean Jacques Rousseau, des Mably, que des Anatole France, des Henri Barbusse, des Romain Rolland, des Louis Aragon, des Paul Eluard,

NOUS vous assurons, vous qui incarnez les plus belles pensées et traditions de la nation française, que nous comprenons votre indignation et votre amertume, que le pouvoir en France se trouve entre les mains de Jules Moch, qui portant atteinte à la dignité des Français, fait arrêter, torturer et expulser des Polonais.

NOUS vous exprimons notre conviction profonde que de même que nous, vous aurez encore un gouvernement et un régime dignes de votre nation.

Collaborateurs et membres de la rédaction de „Odrodzenie”.

JULIEN BENDA
filozof i powieściopisarz,
autor „Zdrady klerków”

WYJAŚNIENIE W SPRAWIE RAJKA

Pewien lubujący się w dialektyce publicysta z dziennika „Epoque”, p. Jules Sylvain uważa, że przez swą interwencję w sprawie Rajka zaprzeczył poglądom, wyrażonym w „Zdradzie klerków”. Z opinią tą od czasu opublikowania mej książki, spotkałem się już najmniej 20 razy i to ciągle ze strony tej samej partii: kiedy protestowałem przeciwko napaści Mussoliniego na Etiopie, przeciwko zdławieniu republiki hiszpańskiej w 1936 roku, przeciwko zbrodni, popełnionej za zgodą rządu francuskiego na Czechosłowacji w dwa lata później. Wyznawcy tej opinii chcą mi powiedzieć: „Pan zdradza swoją tezę przez podobne stanowisko, ponieważ pan twierdził, że klerk nie powinien ulegać żadnym namietnościom politycznym, a tylko znać prawdy wieczne”. Jest w tym pewna klauzula negująca, której nigdy nie było w mojej definicji klerka. Klerk nie wykracza poza swe prawa, jeśli wchodzi na trybunę, aby bronić tego, co mu się wydaje słuszną i prawdą. Voltaire nie wyszedł bynajmniej ze swej roli klerka interweniując w sprawie Calasa, tak samo, jak Zola interweniując w sprawie Dreyfussa. Uważam więc, że i ja pozostaję w tej roli, broniąc wyroku węgierskiego, którego słusznosci zaprzeczają tylko ludzie określonego obozu.

Ludzie ci nie operują poważnymi argumentami, jak tego dowiedli przed kilku dniami panowie Courtade i Baby. Dowiedli tego również oni sami, odmawiając wzięcia udziału w dyskusji. Nie wątpię zresztą, że ci purycy uważaliby moją interwencję za całkowicie zgodną z obowiązkami klerka, gdyby przybrała ona ten kierunek, jaki im odpowiada.

Czekamy, aby panowie Mauriac, Bourdet, Sylvain, dowiedli nam bezprawności „potworności” procesu Rajka, tak, jak my dowiedliśmy przed pięćdziesięciu laty niegodności procesu Dreyfussa. Ciągłe jeszcze czekamy, aby zabrali głos w tej sprawie.

Drugi zarzut, z jakim również spotykam się od lat, to, że przyznając demokracji tak, jak każdemu organizmowi, który pragnie żyć, prawo obrony przeciwko wszystkim, co mu w tym przeszkadza, utożsamiam ją z tymi ustrojami, z jakimi walczy. Czyż potrzebuję mówić, że tożsamość ta ogranicza się do chęci zapewnienia sobie bytu? Że przesuujemy przeciwnika tylko wówczas, kiedy jego wrogą wyraża się w czynach. Pozwalamy mu się bronić, potrafimy uwzględnić okoliczności łagodzące, pozwalamy mu zwrócić się przeciw nam, jeśli oskarżyliśmy go fałszywie? Wszystkie te zwyczajnie nie były stosowane przez Hitlera i jego kolegów wobec ich przeciwników. Nasi cenzorzy źle ułożyli swoje równanie.

P. S. Bynajmniej nie po to pojechałem do Budapesztu, jak to pisze redaktor z „Epoque”, aby słuchać procesu Rajka, ukończonego na długo przed moim przyjazdem. Pojechałem na zaproszenie rządu węgierskiego jako filozof i niezależnie od wszelkich zamiarów wypowiadania się w tej sprawie. Informacje naszego kolegi wydają się równie nieściste, jak jego rozumowanie.

(„Les Lettres Françaises”, nr. 286)



fot. Leonard Idziak-Tułacz

STANISŁAW MICHOTEK i EUGENIUSZ OLSZEWSKI

Przed zjazdem inżynierów i techników

O NOWY TYP ZJAZDU NAUKOWEGO

Przeciętny inteligent okresu międzywojennego skłonny był wyobrazić sobie rezultaty zjazdów naukowych w postaci składów pozapomnianych profesorskich parasolów.

W anegdotyce tej doszukacie się można zarówno poczucia niższości intelektualnej jak i lekceważącej oceny w stosunku do jakości poczynań naukowych. Sąd taki był wynikiem charakterystycznego dla ustroju kapitalistycznego oderwania nauki od życia i dążeń ogółu ludzi pracy.

W pamiętnej dyskusji filozoficznej Żdanow tak charakterystycznie przedmarksistowską filozofię: „była ona przedmiotem zajęć jednostek, dorobkiem szkół filozoficznych składających się z niewielkiej ilości filozofów i ich uczniów, izolowanych, oderwanych od życia, od ludu, obcych ludowi”. Osąd ten rozciągnąć można na całą naukę kapitalistyczną. Wskazuje ona na indywidualistyczność i przypadkowość poczyniń naukowych, a w konsekwencji na niemożność ich planowania.

Ten brak planowości, czy choćby koordynacji sprawiał, że najgenialniejsze nawet indywidualne osiągnięcia naukowców nie mogły w ustroju kapitalistycznym uzyskać właściwej miary. Obiektywnych

bowiem kryteriów wartości osiągnięć nauki — jako przejawu życia społecznego — szukać należy w przemianach wywołanych w warunkach bytu.

I dlatego dopiero ustrój socjalistyczny umożliwił właściwe wykorzystywanie i ocenę pracy naukowców.

Stworzenie metodologicznych i materialnych podstaw rozwoju badań naukowych, zaplanowanie ich zgodnie z kulturalnymi i gospodarczymi potrzebami społeczeństwa oraz zapewnienie realizacji ich wyników — oto warunki i klimat, w jakich pracują naukowcy radzieccy, jakie pragną zapewnić swym uczonym krajem Demokracji Ludowej.

Olbrzymia różnica sytuacji naukowców w ustroju kapitalistycznym i socjalistycznym znajduje również swe odzwierciedlenie w całkowicie odmiennym charakterze i roli zjazdów naukowych.

Zjazdy międzywojenne, bądź obecnie organizowane w krajach zachodnich mają charakter luźnej wymiany poglądów i wiadomości. Na odcinku techniki wymiana ta musi być przy tym dostatecznie ogólnikowa, aby nie była naruszona strzeżona patentami tajemnica produkcji.

Zdarza się, że w takich warunkach zjazd stanowi jedynie okazję do urozmaiconych krajoznawczych wycieczkami spotkań towarzyskich, które są oczywiście dostępne tylko dla posiadających odpowiednie środki pieniężne.

Dodatnią stroną takich zjazdów jest to, że stanowią one podniecie dla naukowców do zakończenia i sformułowania pewnego odcinka badań, związanych z tematyką zjazdu z reguły zresztą ujmowaną ogólnikowo. Zgłaszane referaty są drukowane w księgach zjazdowych.

Takie jedynie możliwości stwarza pozycja nauki w ustroju burżuazyjnym dla jednej z nielicznych form organizacyjnych życia naukowego.

Inne szersze zadania wyznacza zjazdem organizacja życia naukowego w krajach Demokracji Ludowej.

Po pierwsze, zjazdy naukowe stają się jedną z istotnych form mobilizacji świata nauki dla uzyskania wyników zaplanowanych zgodnie z potrzebami społecznymi. Zasadą ta wyznacza charakter tematyki zjazdowej, która powinna być ściśle powiązana z konkretnymi w danej chwili potrzebami określonej dziedziny życia kulturalnego czy gospodarczego oraz zawierać pod-

sumowanie dotychczasowych osiągnięć.

Po drugie, zjazdy są sposobem mobilizacji całego świata pracy dla współdziałania w tworzeniu nowych wartości naukowych. Nauka socjalistyczna nie jest bowiem tworzona jedynie przez uczonych, tworzy się również w wysiłku nowatorów i racjonalizatorów produkcji. Zjazdy naukowe służą więc mają zbliżeniu badaczy naukowych z ludźmi praktyki, co jest konieczne zarówno dla prawidłowego planowania badań naukowych, jak i dla pobudzenia twórczych wysiłków nowatorskich.

Po trzecie, zjazdy służą mają upowszechnieniu wyników badań naukowych oraz wymianie i przedyskutowaniu ich osiągnięć.

Tak zakrojone cele zjazdów przesadzają ich formy organizacyjne. Ramy akcji zjazdowej rozszerzają się poza kilkudniowy okres właściwych obrad, a ilość osób związanych pracą i zainteresowaniami ze zjazdem wielokrotnie przewyższa grono jego uczestników.

Osiąga się to przez organizowanie zebrań przedjazdowych dla przedyskutowania zgłoszonych, na zjazd opracowań oraz wniosków. Taka sieć zebrań przedjazdowych pozwala na upowszechnienie wyników

obrad oraz przyspiesza realizację uchwalonych wniosków. Zjazd staje się nie tylko ważkim wydarzeniem w rozwoju samej nauki, ale również i związanej z nią dziedziny życia społecznego.

Próby zorganizowania zjazdu naukowego nowego typu podjął właśnie Polski Związek Inżynierów i Techników Budownictwa. Dokonany w roku bieżącym przełom w metodach budowania, przejście do szeroko już stosowanych w Związku Radzieckim socjalistycznych metod pracy, świetny rozwój współzawodnictwa, osiągnięcia robotników-racjonalizatorów w produkcji, budownictwo szybkościowe — wszystkie te osiągnięcia klasy robotniczej postawiły przed inteligencją techniczną nowe, bojowe zadania.

Zadania te określiły termin i tematykę VI Zjazdu Naukowego PZITB, którego obrady odbędą się w Gdańsku w początkach grudnia, a więc u progu planu sześciolatniego.

Konieczność gruntownej rewizji nauki i techniki budowlanej narzuciła szerokie ramy tematyce Zjazdu. Tematyka ta została podzielona

na pięć grup odpowiadających elementom produkcji budowlanej. Każda z nich będzie przedmiotem obrad jednej z pięciu sekcji zjazdowych.

Sekcja pierwsza omawia plan budownictwa w sześciolciu, druga socjalistyczne metody wykonawstwa budowlanego; tytuł trzeciej sekcji brzmi: „Walka o materiały, ich produkcję i właściwe zastosowanie”, czwartej — „Walka o formę architektoniczną i konstrukcję”, wreszcie sekcja piąta zajmuje się naukowymi osiągnięciami mechaniki w walce o postęp w budownictwie.

Sekcje zostały z kolei podzielone na podsekcje, każda zaś z nich obejmuje grupę referatów autorskich.

Zespoły sekcyjne zajęły się doborem kierowników podsekcji oraz autorów referatów, opracowaniem hasel i projektów rezolucji. Zespołowo również oceniano referaty autorskie i opracowano zbiorcze referaty podsekcyjne i generalny.

Referaty zostały wydane w terminach umożliwiających ich wyko-

(Dokończenie na stronie drugiej)

JERZY BOREJSZA

LUDZIE ZA MGŁĄ

Sześciu za jednego (II)

Sześciu komunistów za zwolnienie pewnego akowkiego prowodyra — taką cenę postawiło gestapo Lechowiczowi i tę cenę Lechowicz zapłacił. Gestapo, które nie zawsze należy posadzać o krótkowzroczność, oceniali, że prowodyrzy akowscy mają długotrwałą wartość dla obozu gestapowskiego i jego spadkobierców, że można go zatem zwolnić. Należy natomiast wydzierać z zamian do Lechowicza jak najwięcej komunistów, oni bowiem ze względu na swą rosnącą siłę są najgroźniejsi dla obozu hitlerowskiego i jego spadkobierców.

Podkreślić należy, że chodziło o akowca-reakcjonistę, o przywódcę, co do którego gestapo nie miało wątpliwości, że się nie zmieni. Inny stosunek miała ta sama instytucja do dołowych akowców: wobec nich istniała słuszną obawa, że im bielmo z oczu spadnie, że połączą się z ludem.

Nie należy więc pomniejszać przenikliwości wroga — gestapo realnie oceniło wielką, potężną siłę komunistów, która polega nie tylko na liczbie, ale na tym, że bojownicy o nowy ład społeczny nie są zachorami. W swej działalności opierają się oni na nauce — nauk, jaką jest marksizm-leninizm, przewidując zjawiska społeczne, a więc przebieg i wynik schorzeń społecznych i dlatego chirurgicznym cięciem przeciwdziałają zawczasu ich rozszerzeniu tam, gdzie zachodzi tego potrzeba.

Otóż trzecie, listopadowe Plenum Komitetu Centralnego PZPR, które dokonało chirurgicznego cięcia, poświęcone było sprawie czujności wobec wroga. Stało się tak nie dlatego, że przypadkowo ujawniono, zdemaskowano tę czy inną grupę prowokatorską — przeciwnie, dlatego zdemaskowano i ujawniono grupę prowokatorską, że zaostrzała się walka, a w takiej sytuacji marksistowska analiza wskazuje, że muszą się zjawiać próby dywersji, opozycji i agentury. Wzrosły i narosły siły demokracji ludowej, a wraz z wzrostem potencjału gospodarczego, wzrosła świadomość proletariatu. Pozwoliło to krajom demokracji ludowej — między innymi i Polsce — jasno, spoza mgły i mętniactwa ideologicznego, wskazać na wielki gościniec przejścia od kapitalizmu do socjalizmu.

Nie dlatego nastąpiło zdemaskowanie agentury Tito, nie dlatego był proces Rajka, nie dlatego było listopadowe Plenum KC PZPR — że przypadkowo wykryto te czy inne ogniska obojętne. Takie tłumaczenie jest w stylu detektywistyczno-kryminalnych rozwiązań zbył gorliwych czytelników Sherlocka Holmesa. Doszukiwanie się zaś w sprawach politycznych jakichś osobistych intryg i rozgrywki jest na poziomie trockistowskiego magla, gdzie — jak wykazaliśmy w pierwszej części naszych wywodów — zawsze próbowano do drobniomieszkańsku sprowadzać zasadnicze, poważne spory do obolajnych spraw osobistych.

Natomiast dlatego można było obecnie zdemaskować bandy Titów, Lechowiczów, Rajków, Brankowów i Palffy'ch — że siła krajów demokracji ludowych powiększyła się, nastąpiły istotne, głębokie przemiany gospodarcze, społeczne i polityczne, które pożyłyby socjalistyczny przełom. Wraz z tymi przemianami pękł worek ideologiczno-mętniactwa pravicowego; szydło Lechowicza wyłaziło z worka. Nie samo zresztą, nie automatycznie, ale dzięki służnemu politycznie skierowaniu śledztwa w pracy władz bezpieczeństwa.

Maskarada polityczna skończyła się; szczyry zaczęły się miotać.

O NOWY TYP ZJAZDU NAUKOWEGO

(dokończenie ze strony pierwszej)

rzystanie w ramach akcji przedzjazdowej.

Akcję tę zapoczątkowały na dwa miesiące przed zjazdem ogólnie zebrania oddziałów PZITB we wszystkich miastach wojewódzkich. Na zebraniach tych przedstawiciele głównego komitetu zjazdowego omówili zadania i problematykę zjazdu. Następnie we wszystkich środowiskach inteligencji technicznej, to jest: przedsiębiorstwach budowlanych, biurach projektowych oraz urzędach i instytucjach odbywały się zebrania poświęcone omówieniu i przedyskutowaniu referatów o tematyce odpowiadającej charakterowi środowiska. W szczególności autorzy zobowiązani byli do przedyskutowania referatów w środowisku własnym, tak aby skorygowane w wyniku dyskusji referaty mogły być traktowane jako wyraz poglądu środowiska.

Obecnie odbywają się ponownie ogólne zebrania oddziałowe, na których przyszli uczestnicy zjazdu zapoznają ogół kolegów z wynikami dyskusji środowiskowych.

Organizacja zjazdu przeprowadzana jest w porozumieniu ze Związkiem Zawodowym Robotników Budowlanych, toteż w nara-

Różne odmiany schorzeń politycznych — titoidalne, trockistowskie i inne zaczęły coraz bardziej ujawniać swoją łączność i jedność. Można to było z naukową ścisłością przewidzieć, sięgając po prostu do rozdziału 10-go Historii WKP (b), poświęconego walce o socjalistyczne uprzemysłowienie kraju.

Wtedy, gdy ZSRR zbliżyli się do końca odbudowy powojennej, gdy wzrosła siła i moc tego kraju — gdy władza radziecka ruszyła do ofensywy — nastąpił szereg prowokacji zagranicą, równocześnie zaś wzmożła się kontrrewolucyjna działalność trockistów, ziniwiełowców, bucharinowców.

Przebieg obecnych procesów acz nie identyczny, jest nader podobny.

Jest rzeczą jasną, że wszelka dywersyjna agentura pragnie wobec siebie i wobec innych tworzyć mgłę nadbudówek ideologicznych, przypisywać sobie wielkie cele polityczne. Znany w Polsce dobrze moralność pani Dulskiej i nie należy dziwić się Lechowiczom, Dubielom czy Jaroszewiczom, jeśli okazali wazelinarską, niemniej jednak uzasadnioną wdzięczność oportunistom i pravicowcom. Przecież ci pravicowcy umożliwili im tę postawę podwójnej moralności, pozwolili im nawet wobec siebie samych nie przyznawać się do tego, że są zwykłymi prowokatorami, którzy wydawali w ręce gestapo tak świetlane i piękne postacie jak Janka Krasickiego i innych. Ba! Są tacy, którzy, dorabiając „teoryjki” o tragizmie wykończonych patriotów ratujących się (w sensie oczywiście biologicznym!) przy pomocy prowokacji, skamla nawet o rodzimego Dostojewskiego, który by rzekomo narodową tragedię „dużo” polskiej opisał. To ohydne, cierpietniczo — liberalne klasowe pobłażanie wobec rodzimych prowokatorów, szpiegów, agentów, to mezcenniczko-pokutnicze tłumaczenie tego zjawiska latami niewoli — zostało raz na zawsze zdemaskowane i przywołane na plenum listopadowym.

Podkreślanie, wyolbrzymienie jakiejś specyficznie polskiej drogi do socjalizmu usiłowano zamazywać, kłajstrować walkę klas w Polsce. A walka klas i jej logika, jak zresztą i oportunistyczne „teorie” obumierania tej walki, są w treści swojej międzynarodowe i żadne zachorskie frazesy i zaklecia oportunistów nie potrafią zmienić tego faktu.

Usiłuje się nieraz wyodrębnić, podkreślić i wyolbrzymić specyfikę „wallenrodzkiej” rzekomo drogi polskiej prowokacji, nadać jej tak samo odrębny, wyłączny charakter, jak odchyleniom, które rzekomo są odrębne, wyrosłe jedynie na polskiej glebie i z polskiego gnoju. Pleśnie i owrodzenia odchylenie wyrastają jednak we wszystkich krajach z tych samych składników, z których wyrastają nowotwory agentur. Gnoj bowiem ma ten sam skład chemiczny we wszystkich krajach.

Rodowód form prowokacji i agenturowości w Polsce, jego wspólnota z rodowodem pilsudczyzny został ostatnio słusznie wykazany na łamach „Kuznicy”. Czynniki, które złożyły się na szczególne rozprzestrzenienie się systemów agenturowych w kraju, są następujące:

Po pierwsze — w ciągu długich lat niewoli i potrójnego rozbroju Polska była terenem działania trzech wywiadów: ochrony carskiej, K-stelle austriackiej i wywiadu berlińskiego. Brak własnej państwowości burżuazyjnej wycho-

wał pokolenia prowokatorów do sześciu, szkolonych często na usługach równocześnie trzech wywiadów. Stąd zresztą ta łatwość, z jaką prowokatorzy i agenci naszej emigracji zagranicznej i wewnętrznej przechodzili ze służby jednego wywiadu na służbę drugiego. Stąd z taką łatwością agenci gestapo przechodzili na służbę angielskiego Intelligence Service, a wraz z marszalizacją tej instytucji na służbę amerykańską. Dlatego też Lechowicz, oficer drugiego oddziału, szkolonego w tradycjach trzech zaborczych wywiadów, prowokator do sześciu, z taką łatwością oddał wywiadowi okupanta sześciu komunistów — patriotów za jednego wybitnego akowca, kosmopolitycznego obcego agenta.

Po wtóre: cała przeszłość kosmopolityczno-zdradziecka spadkobierców Targowicy szlacheckiej — owo „pawie narodów byłaś i papuga” — nader sprzyiała werbowaniu agentów spośród tej części inteligencji, dla której złumowany lokaj francuski miał większą wartość, aniżeli rodzimy chłop, robotnik czy pochodzący z ludu nauczyciel.

Po trzecie: lata międzywojenne rządów sanacji, wysługiwanie się hitlerowskiemu mocodawcom, ścisłe podporządkowanie drugiego oddziału bądź to gestapo, bądź to pewnych jego ogniw, drugiemu oddziałowi Francji czy też Intelligence Service niewątpliwie wyłożyło na większą gietkość karku kosmopolitycznych karłów z drugiego oddziału.



Honoré Daumier — Marynatura z r. 1834

Z tych i tylko tego rodzaju względów można mówić o polskich „osobliwościach” obcych agentur, które mając te same metody i tę samą treść lokalno-kosmopolityczną co każda inna agentura imperialistyczna, będąc wyrazem mitów głąbiącego świata — są do sześciu groźniejsze, wymagają do sześciu większej czujności, aniżeli w innych krajach. I tylko na większej podłości i wyrefinowaniu — a nie na żadnym jakimś wallenrodzynie polega specyfika prowokacji w Polsce.

Pomny na owrodzenia, będące wynikiem lat niewoli jeden z najbardziej sprzecznych wewnętrznie i dramatycznie pisarzy polskich, Stefan Żeromski wołał:

„Podrastają już synowie i córki wolności, których pleców bat niewoli nie hańbił, kryją się kędys w zastępach młodzieży, w łonie ludu wiecy artystów, którzy dzieło poczyna i wydzwigną”. Ale ta Polska, o której Żeromski marzył, że da wolność, miała dla swojej młodzieży bat Kajdana, więzienia Łucka, Wronek, Daniłowiczowskie i jedyną nadzieję wolności: walkę Cezarów Baryków przeciw Pilsudskiemu.

Dopiero przełom, jaki następuje dzięki usilnej pracy odbudowy po latach niewoli, przełom, jaki nastąpił dzięki wzmocnieniu sił Polski Ludowej i wszystkich sojuszników sił ludów, walczących o pokój, do prowadził z żelazną logiką do rozbicia grup agentur i do zardania z nich wszelkiej ideowej i politycznej maski.

Nawet proces rozkładu i gnicia, jaki obecnie zachodzi wśród emigracji zagranicznej i wewnętrznej w Polsce nie jest osobliwy — jest identyczny z procesem, jaki zachodził wśród białej emigracji rosyjskiej. W pierwszych dniach maja 1947 roku pewien emigrant polski w Londynie tak z rozrzewnieniem opowiadał:

„Po Rewolucji Październikowej przyjechali do nas Sawinkow, Petlura i tyłu innych z Rosji. Z początku rozmawiał z nimi Pilsudski, potem Pieracki, generałowie drugiego oddziału, politycy, potem Kawiecki, potem szef defy w naszym mieście, a potem przez agenta defy przesyłano im comiesięczną pensję. I ja patrzę na to, jak im odbierano ostatnie złudzenia polityczne — modliłem się w duszy: Boże, nie spraw, abyśmy byli w takiej sytuacji.

A teraz, w Londynie? Z początku rozmawiał Churchill, potem jacyś ministrowie, potem polecenia przychodziły z Intelligence Servi-

ce, teraz zaś większość przeszła na służbę amerykańską i dostaje miesięczną pensję”.

Taka jest logika stacjana się ludzi kontrrewolucji. Przypominają się rozmyslenia polskiego emigranta, gdy się czyta acz cyniczne, to jednak szczerze wyznanie angielskich „Timesów” o Tito. „Timesy” stwierdzają:

„Tito tak długo tylko ma możliwość rządzenia w Jugosławii, póki potrafi twierdzić i wpaść wiarę, że jest on komunistą. W przeciwnym wypadku wielu komunistów, którzy obecnie popierają marszałka Tito, będą gotowi go obalić. Mocarstwa zachodnie muszą się z tym liczyć, muszą na to zwracać uwagę”.

A niedługo potem te same „Timesy” precyzują to jeszcze wyraźniej, poklepując Tito na ramieniu: „Jeśli zapewnienia Tito o jego dobrej woli (wobec zachodu) są przyodżniane w zwykłe frazesy komunistyczne, należy mu na to zezwolić, jako na formę mówienia do jego słuchaczy. Poza wiernego woźdźdźdź komunistycznego, który został przez nieprzyjazyjny Kominform zmuszony do współpracy z mocarstwami kapitalistycznymi, jaką przybrał marszałek Tito, nie może być jednak zbyt długo utrzymywana”.

Ofensywa socjalizmu jest najlepszym rentgenem społecznym, prześwietlającym przy najwierniejszej, najofiarniejszej pomocy organów bezpieczeństwa owrodzenia agentur w walce klas. Proces Rajka, który był nieubłaganym i nieprzypadkowym wynikiem wzrostu nateżenia przemian socjalistycznych na Węgrzech — zdemaskował role rządów Tito. Tym samym została „rozłożona” rola nie takich „ogonów” jak Nagy, Mikołajczyk

wiańskiej drogi do socjalizmu”, co oznacza utratę nadziei na nowe Serajewo, doprowadzeni do wściekłości zwycięstwami planowej gospodarki krajów nowej demokracji, a nade wszystko ZSRR — grają na piszczałkach frazesów i wyprowadzają na arenę szczyry titoidalne, trockistowskie, blumowskie, bezsilną masę, która ma jednak wnieść zarządę do obozu postępu i socjalizmu... Jesteśmy znowu świadkami jak szczyry spłoszone smyrgnely do obozu reakcji, włokąc za sobą panikę i pesymizm i teraz merdają służalczo ogonem przed wazyngońskimi panami, usiłując zasłużyć się nowym mocodawcom. Nie wystarczają już w obecnym końcowym okresie walki z kapitalizmem tylko tacy szpicle jak Eccarius, których podsyłano Marksowi i Engelsowi, nie wystarczy już kupiony przez ochronę Malinowski, prowokator w KC bolszewickiej partii, rozstrzelany po Rewolucji Październikowej. Potrzebni są agenci „ideoludzy” do roli jaką odgrywał już u nas Stanisław Brzozowski.

Na odsiecz Tito spieszy Leon Blum, który w swojej ostatniej książce jasno składa oferty, stwierdzając, że firma kapitalizmu, firma imperializmu nie zdoła już oszukać mas. Blum pisze:

„Jawny konflikt między komunizmem a kapitalizmem zajmuje ciągłe proscenium, tymczasem ideologia i gospodarka kapitalistyczna traci treść z każdym dniem — nawet w Stanach Zjednoczonych; przed światem staje jedyna alternatywa: rzeczywistość demokratyczna socjalizmu — albo jej deformacja dyktatorska”.

Cała droga reformizmu do teorii o pokojowym wzrastaniu w socjalizm do lokaljskiej agentury — jest w tej jednej cytacie.

„Kapitalizm sam, pokojowo rodzi socjalizm — a więc możemy powiedzieć, że nie ma już kapitalizmu. Nawet w Stanach Zjednoczonych... Blum ofiarowuje się to udowodnić... Ideologia kapitalistyczna traci z każdym dniem treść”.

„Kapitalizm imperialistyczny, który mają (podobno) „symbolizować Stany Zjednoczone...” Blum ofiarowuje swe usługi: „wygodniej, żeby was „symbolizował” socjalizm. On to załatwi”.

Tak oto smaży Leon Blum „teoryjkę”, która ma ułatwić wprowadzenie pomalowanego na czerwono konia trojańskiego do obozu postępu. Między „teorią” Leona Bluma a praktyką jego zwolennika Juliusza Mocha istnieje nierozłączna jedność. Im bardziej wzmacnia się ofensywa socjalizmu, im bardziej rosną siły postępu, tym częściej zmusza się agentów-ideologów do zdejmowania maski...

Dla polskiego czytelnika, dla charakterystyki tej gry ideologicznych agentów przykładem będzie treść rozmowy z Leonem Blumem dwóch Polaków, z których jednym był pi-

*) Cytują za „Demokratie Nouvelle”, sierpień 1949.

szący te słowa, z dnia 26 kwietnia 1947 roku.

Działo się to w Paryżu w redakcji „Populaire’a”, gdzie redaktor naczelny Leon Blum przyjął gości z Polski, ciekawych, jakie stanowisko zajmie partia tego niedawno jeszcze premiera Francji w sprawie granicy Odry — Nysy.

Elegancki Leon Blum w pięknym amerykańskim krawacie ze znaczącym uśmiechem odpowiada:

— Zasadniczo jesteśmy wierni niezłomnym naszym przeświadczeniom, że wszelka aneksja dokonana na obecnej ziemi jest szkodliwa i dlatego będziemy popierać stanowisko niemieckich socjalistów, za pokojem bez aneksji i w zasadzie będziemy przeciwko granicy Odra — Nysa...”

Po czym, wobec ostrego zareagowania rozmówcy soliter w amerykańskim krawacie rozpołowił się i dodał:

— Zaraz, nie skończyłem. Wobec tego, że jednak praktycznie macie te ziemie w swoim posiadaniu, nasze teoretyczne stanowisko nie ma nic wspólnego z praktyką i z faktem, że taktycznie jest leniej, abyście władanie tymi ziemiami wzmacniali, nie oznacza to jednak, abyśmy swoje teoretyczne stanowisko zmienili — co wam zresztą przeszkadzać nie będzie, aż do czasu kiedy dostosujemy naszą teorię do rzeczywistości, albo Wy waszą rzeczywistość do naszej teorii...”

Kiedy się czyta artykuły Leona Bluma i przygląda się działalności jego Juliusza Mocha, kiedy się czyta wypowiedzi ludzi kliki Tito, usiłujących językimi niemi załatać kurtynę, kiedy spada i obnażają prawdę, kiedy się rozsyfrowuje grę ideologicznych agentów — jest się zdumionym, mimo różnic sformułowań, stylu, języka współną istotą treści ideologicznej zdawałoby się rzeczników różnych stanowisk.

Istnieją bowiem niezłomne prawa kierujące logiką rozwoju każdej jednostki, każdego, który oślabia czy pomniejsza preżność i spoiłość wielkiego obozu postępu, idącego ku ofensywie. Partie proletariacki różni od wszelkich agentur ideologicznych, świadomych czy nieświadomych — jasna postawa jedności teorii naukowej praktyki.

Czułość Partii wobec wszelkich odchyłeń, wynika z zaufania, jakie ma do ludu i z zaufania. Jakie różnie w narodzie wobec Partii. Dlatego Partia jasno i prosto ujawnia wobec całego społeczeństwa swoje stanowisko, aby przy pomocy wyraźniejszej uczynił wszystkich obywateli w kraju świadomymi współbudowniczymi socjalistycznej ojczyzny.

Dla zrozumienia głębokiego związku między losem osobistym człowieka a kierunkiem rozwoju społecznego, między udziałem jednostki w codziennym powstawaniu nowej rzeczywistości a tą rzeczywistością — należy przypomnieć niektórym sprawy dotyczące istoty walki.

Istota walki (III)

Najbardziej istotną sprawą dla kultury i jej pracowników jest zagadnienie stosunku do kwestii narodowej zwolenników nacjonalistycznego, pravicowego odchylenia, co w szybkim tempie prowadzi ich do kosmopolityzmu. Nie jest bowiem rzeczą przypadkową — że równocześnie z walką przeciwko nacjonalistycznemu odchyleniu rozpoczęła się walka z kosmopolityzmem, walka o internationalizm.

Nacjonalizm i kosmopolityzm bowiem są ze sobą bardziej związane niż się na pozór wydaje — tak samo jak prawdziwy i głęboki patriotyzm jest nie do pomyślenia bez internationalizmu. Tak jak tramadactwo i buffonada najczęściej idą w parze w kompleksie niższości, tak samo nacjonalizm szlachecki szedł zawsze w parze z targowiczańskim, bezojczyźnianym wysługiwaniem się, a bluszczowe owijanie się wokół imperializmu, prowadziło do roli kondotiera obcych interesów.

Tak było i w dziejach Rewolucji Październikowej, kiedy o nacjonalistycznym Kołczaku lud rosyjski śpiewał: „Mundur angielski, szlify francuskie, tytoń japoński, namiestnik ruski. Mundur zniszczony, szlify zgubione, tytoń spalony, Kołczak stracony”.

A Anders, który podczas bitwy stalingradzkiej wycofał się ze swoim wojskiem do Teheranu, tłumaczył na przyjęciu w ambasadzie angielskiej znakomitemu pisarzowi John Aldridge'owi, że dni Rosji są policzone i że wkroczy na czele swych wojsk do Baku. Jak wiadomo, do Baku nie udało się Andersowi wkroczyć — a John Aldridge nazwał Andersa błaznowatym głupcem. Rzecz jasna, nacjonalista Anders stał się jednym z pierwszych kondotierów kosmopolitycznych, który krew i głupotę swoich nie liczących żołnierzy sprzedaje po to, aby zasłużyć się należycie swoim mocodawcom

Rzecz jasna, przykład łączności buffonady czy awanturnictwa nacjonalistycznego Kołczaka czy Andersa z kondotierstwem, kosmopolitycznym, agenturowym wysługiwaniem się obecnemu imperializmowi — nie jest tak złożony i tak maskowany, jak związek tych działaczy w ruchu robotniczym, którzy występują wobec drobniomieszczństwa w tożde rzekomych obrońców interesów narodowych. W rzeczywistości zaś ich postawa odchylenia nacjonalistycznego i pravicowego, szczególnie w Polsce jest z istoty swojej antynarodowa i prowadzi do kosmopolityzmu.

I jeśli mamy rozpatrzyć kolejne odchylenie nacjonalistyczne i pravicowe, kosmopolityzm, rolę proletariatu i w końcu rolę Partii, niech przewodnią myślą rozumowań będą następujące myśli Lenina, wypowiedziane w 1914 roku w artykule „Pod obcą flagą”:

„Powiadają nam: podział „na zasadzie oportunistów” jest przestarzały. Sens — powiadają — ma jedynie podział na zwolenników międzynarodowości i zwolenników narodowej organiczności. Jest to z gruntu fałszywy pogląd. Pojęcie „zwolennik międzynarodowości” pozabawione jest jakiegokolwiek treści i znaczenia, jeśli nie zostanie przez was konkretnie rozwinięte i każdy krok na drodze takiego konkretnego rozwinięcia będzie wyszczególnieniem objawów wrogłości w stosunku do oportunistów. Okaże się to jeszcze prawdziwie w praktyce — zwolennik międzynarodowości, który nie będzie jednocześnie „bardziej konkretnym, konsekwentnym i zdecydowanym wrogiem oportunistów, jest uludą i niczym więcej. Być może, że pewne jednostki tego typu mogą szczerze uważać się za międzynarodowców, jednak o ludziach nie sędzi się na podstawie ich mniemania o sobie, ale na podstawie ich działalności politycznej, po-

stepowanie zaś polityczne takich ludzi, którzy nie są konsekwentnymi i zdecydowanymi wrogami oportunistów, zawsze będzie pomocą albo podtrzymaniem prądów nacjonalistycznych”.

(Lenin — Wydanie IV — Tom 21, str. 135 — 136 podkreślenia nasze).

W tej walce o prawdziwy internationalizm, a więc o obronę interesów narodowych przybyły zwolennikom marksistowsko-leninowskiej postawy dwa wielkie pomocnicze czynniki: teoretyczny — wydanie po raz pierwszy w polsku pracy Józefa Stalina „Kwestia narodowa a leninizm”, praktyczny — powrót Polaka Marszałka Konstantego Rokossowskiego i objęcie przezeń teki ministra Obrony Narodowej. Te dwa elementy, wielki orzeł teoretyczny i praktyczne uderzenie w kosmopolityzm wiążą się ze sobą ściśle tak, jak w marksizmie-leninizmie teoria z praktyką łączy się bezpośrednio.

Niech więc na podsumowanie wolno będzie sięgnąć do notesu i przypomniać scenę, która po stworzeniu Rządu Koalicyjnego 23 czerwca 1945 r., odbyła się w wielkiej sali Ambasady Polskiej w Moskwie, podczas konferencji prasowej dla dziennikarzy zagranicznych. W trakcie tej konferencji przez hall przeszedł szybko Marszałek Rokossowski, udając się do gabinetu, gdzie oczekiwał go Prezydent Bierut. Rokossowskiemu zebrani zgotowali wielką owację.

Mikołajczyk zbladł i snać ze wzruszenia uważał mu te czeka. Jeden z dziennikarzy angielskich złożył mu zagadanie:

— Czy Marszałek Rokossowski wróci do swojej ojczyzny?

Marszałek Rokossowski powrócił do swojej Ojczyzny. I Mikołajczyk do swojej, na giełdzie dolarowa. O nim w Polsce zapomniano.

Jerzy Borejsza

W następnym numerze ciąg dalszy!

IV. CZUJNOŚĆ I ZAUFANIE

ROMAN SZYDŁOWSKI

Scenariusz filmowy zadecyduje

Po naradach literatów i dramaturgów, artystów i muzyków, architektów i wychowawców oraz wychowanków szkół artystycznych, przysłała koleją na wielką naradę ideologiczną twórców filmowych. Zjazd w Wiśle przeprowadził krytyczną ocenę dotychczasowego dorobku Filmu Polskiego i uznając w całej pełni wielki krok naprzód, jaki zrobiliśmy w Polsce Ludowej także i w tej dziedzinie, przystąpił do gruntownej i wielkiej ofensywy, która rozwijając się na szerokim froncie kulturalnym, obejmuje w tej chwili swym zasięgiem sprawy filmowe. Była więc na zjeździe mowa o pracy reżyserów, twórców filmów pełnometrażowych i krótkometrażowych, realizatorów średniometrażowych repertażu, filmów oświatowych. Była mowa o krytyce filmowej, która powinna pomagać twórców, wytykając błędy i wskazując osiągnięcia. Wydała się jednak, iż najważniejszą i kluczową sprawą, wokół której toczyła się w Wiśle dyskusja — jest sprawa scenariusza.

Bezspornym faktem jest, iż posiadamy już dziś interesującą kadry aktorów, co więcej — aktorów filmowych. Do rutynowanych mistrzów sceny starszego pokolenia przyłączyła się w ostatnich latach grupa młodych utalentowanych aktorów, którzy debiutowali doskonale w ostatnich polskich filmach. Wystarczy wymienić Aleksandrę Ślaską, Danutę Szafarską, Barbarę Drapinią, czy też Adama Hanuszkiewicza, Jerzego Duszyńskiego, Jurka Złotnickiego, Stefana Śródki, czy też starszych aktorów, ukazujących się na ekranie w powończeniach i w nowych filmach polskich: Godika, Madalińskiego i Kurnakowicza — aby uświadomić sobie bogactwo aktorskich kadr filmowych. Wielkie osiągnięcia reżyserskie Wandy Jakubowskiej, Aleksandra Farda i kilku młodszych reżyserów długiego, średniego i krótkiego metrażu świadczą o tym, że również w tej dziedzinie możemy spokojnie patrzeć w przyszłość. Te czy inne błędy w koncepcjach inscenizacyjnych i realizatorskich nie powinny przesłaniać nam twórczych możliwości naszych reżyserów. Ale rzeczą najistotniejszą w tej chwili dla polskiego filmu jest scenariusz.

Bez dobrej sztuki, opartej na prawidłowych założeniach ideologicznych, wartościowej pod względem artystycznym i wychowawczym — nie będzie dobrego przedstawienia, ani dobrego filmu.

W swym artykule opublikowanym w 42 numerze czasopisma „Sowieckie Iskusstwo” z dnia 15 października br. pisała Wanda Jakubowska: „Jeszcze wiele trudności stoi przed nami. Nie starczy nam twórczych kadr, mało mamy wykwalifikowanych robotników przemysłu filmowego. Szczególnie brak nam scenarzystów. Często reżyser musi sam pisać scenariusz. Wielką pomoc powinien okazać nam pisarze i dziennikarze”. Dyrektor naszego Filmu Polskiego Stanisław Albrecht w ten sposób w wywiadzie opublikowanym w numerze 20 czasopisma „Film” — charakteryzuje metody, dzięki którym kinematografia radziecka udało się pokonać trudności związane z potrzebą wartościowego scenariusza: „Przygotowanie odpowiedniej ilości scenariuszy jest możliwe tylko dzięki ściślejszej współpracy sztuki filmowej z literaturą. Scenariopisarstwo jest w ZSRR bardzo rozpracowane i usystematyzowane, jako gatunek literacki. Uprawiają je najwybitniejsi pisarze, którzy zapoznali się z tą dziedziną twórczości i bardzo ją cenią. Trzeba przy tym podkreślić, że każdemu scenarzystowi stawiane są niezwykle wysokie wymagania ideowo-artystyczne. Przed rozpoczęciem realizacji filmu jest scenariusz przedmiotem licznych dyskusji i krytyki, i dopiero po gruntownym przeprowadzeniu przekazuje się go do realizacji”.

Pod koniec wykonania planu sześciolatniego nasze możliwości produkcyjne w dziedzinie filmu zwiększą się nieopornie. Już w tej chwili posiadamy pełne techniczne możliwości produkowania około sześciu pełnometrażowych filmów fabularnych rocznie, poza produkcją filmów średniometrażowych, filmów oświatowych i krótkich. W roku 1955 będziemy mogli już prawdopodobnie produkować przeszło 20 filmów pełnometrażowych. Jeśli dziś nie wykorzystujemy w pełni naszych możliwości produkcyjnych i jeśli zachodzi obawa, że nie będziemy mogli ich w pełni wykorzystywać w latach przyszłych — gdzie szukać przyczyn tego faktu? Wydaje się, że najistotniejszą, a może nawet jedyną przyczyną jest brak wartościowych pod każdym względem i nadających się do realizacji scenariuszy. Dlatego sądzę, że o losach i przyszłości naszego filmu zadecyduje bitwa o scenariusz, przyciągnąca do tej dziedziny twórczości pisarzy i dziennikarzy. Stworzenie wóckół scenariusza filmowego, atmosfery sprzyjającej twórczości w tej dziedzinie. Zadaniem Związku Literatów i Związku Dziennikarzy jest mobilizacja autorów dla twórczości filmowej. Powinny powstać

SPROSTOWANIE

W 47 numerze „Odrodzenia” omyłkowo opuszczono nazwisko Józefa Spina, tłumacza fragmentu powieści „Walka o stal” Aleksandra Beka.

twórcze kolektywy, które w dyskusjach, rozmowach, wzajemnych inspirowaniach mogą (tak jak to się dzieje w Związku Radzieckim), osiągnąć znacznie lepsze rezultaty, niż dają to indywidualne wysiłki poszczególnych autorów. Ze swej strony powinien Film Polski zrobić wszystko, aby powiększyć grono scenariopisarzy.

Nie wszystko jest tu dotąd bez zarzutu. W Związku Radzieckim wydaje się drukiem wybitne dzieła literatury scenariopisarskiej, podobnie jak wybitne sztuki teatralne. Umożliwia to przeprowadzenie dyskusji nad scenariuszem, niezależnie od dyskusji nad samym filmem. Ponadto zobowiązuje autora do staranniejszego literackiego opracowania tekstu i jest dla niego wymownym dowodem nie dla wszystkich pisarzy w Polsce jeszcze zrozumiałej prawdy, że scenariusz filmowy jest taką samą i równoprawną dziedziną twórczości literackiej, jak proza powieściowa, poezja czy dramat.

Właściwe rozwiązanie problemu mobilizacji autorów dla filmu i zagadnienia współpracy autora z reżyserem filmowym i producentem zadecyduje o przyszłości polskiego filmu.

Obok tego kluczowego zagadnienia pojawił się zapewne wiele innych, ściśle z nim związanych. Spróbujmy wymienić jeszcze dwa spośród nich. Niedawno nakręcone dwa filmy reportażowe: „Trasa W—Z” i film o wrześniu („Odpowiedź”) świadczą dobrze o możliwości współpracy wybitnych dziennikarzy-reportażystów z filmem. W Związku Radzieckim wielu doskonałych scenarzystów filmowych rekrutuje się spośród dziennikarzy.

Można też i należy zacieśnić współpracę filmu z teatrem. Powinno ona polegać nie tylko na angażowaniu znanych aktorów teatralnych do występów w filmie. Wielu reżyserów teatralnych mogłoby w powołaniu do pomocy swych sił w filmie, czego przykład mamy zarówno w Związku Radzieckim, jak i w Czechosłowacji, gdzie Burian kreśli właśnie swój pierwszy film. W Pradze istnieje też specjalny teatr aktora filmowego. Jest on doskonałą szkołą, pozwalającą aktorom teatralnym poznać się ze specyfiką gry filmowej, ponadto zaś przygotowuje często sztuki nadające się do sfilmowania.

BOGDAN BUTRYŃCZUK

FESTIWAL SZTUK RADZIECKICH

Materiał, jaki zebrałem podczas mojej pierwszej wycieczki teatralnej na festiwalowym szlaku, jest nie tylko materiałem do zwykłych krytyk, ocenających ostateczny efekt artystyczny przedstawienia. Jest to ponadto materiał dotyczący socjologii teatru, w którym widownia interesuje się nie mniej niż to, co się dzieje na scenie, w którym nawet architektura teatru czy jego techniczne wyposażenie współgra niejaką z przedstawieniem.

Wiadomo, że widownia potrafi podnieść lub obniżyć temperaturę przedstawienia. W Kielcach temperaturę podniosiono znacznie, pomimo że w teatrze dotąd nie jest jeszcze czynne centralne ogrzewanie. Publiczność w paltach (panie w kapeluszach) wypełniła po brzegi zimną widownię podczas przedstawienia sztuki Sofronowa „W pewnym mieście”. Po drugim akcie sala była już zupełnie ogrzana. Nie było w tym jednak najmniejszej zastęgi zepsutego kotła centralnego ogrzewania.

W tym samym czasie, kiedy jedna część zespołu grała w Kielcach sztuce Sofronowa, druga część zespołu grała w Radomiu „Burzę” Ostrowskiego. Kaloryfery grzały. Ale na przepelnionej widowni znowu ludzie w paltach. Dlaczego? — Nie ma szatni — odpowiadają. A zresztą gdyby nawet była, niechętnie by z niej korzystano. Tak! To już kinowy nawyk. Musi więc teatr zdobywać zaufanie publiczności nie tylko dla swojej sztuki, ale i dla szatni. Jeśli ją oczywiście posiada.

„Burza” zaufanie zdobyła. Nie tylko zresztą publiczności miejscowej. Oceń ją i jury Festiwalu, w wyniku czego ujrzymy ją i w Warszawie. Okazało się, że pomimo różnic w wyposażeniu warsztatu teatralnego radomsko-kielckiego „Burze” Ostrowskiego mierzyć można i należy tymi samymi kategoriami, co np. łódzki „Wisionowy sąd” Czechowa.

„BURZA” A. OSTROWSKIEGO W RADOMIU

Akcja „Burzy” rozgrywa się w małym, prowincjonalnym miasteczku rosyjskim, położonym nad brzegiem Wołgi. Piękny jest pejzaż Kalinowa, zachwyca się nim nie tylko młoda Katierina, lecz także stary, poetyzujący zegarmistrz - samouk Kuligin, głowiący się od lat nad zagadką perpetuum mobile. Ogrody miasta spływają w dół, ku urwistym brzegom Wołgi, która zabarwia się spokojnym błękitem nieba. Cisza. Zresztą tylko pozorną, bo na tym spokojnym tle narasta dramat mieszkających Kalinowa, których życie płynie cieniutką strugą skostniałych obyczajów rodzinnych i nieśmiałyh marzeń o wielkim, zagadkowym świecie. Zastój umysłowy głębokiej prowincji rosyjskiej z okresu poprzedzającego zniesienie poddaństwa chłopów (1861) to dalsze historyczno-społeczne elementy.

I oto ostatni problem. Brak dobrych scenariuszy nasuwa myśl o wykorzystaniu wybitnych współczesnych i klasycznych sztuk teatralnych dla ekranu. Warto spojrzeć okiem obiektywnym na takie polskie sztuki współczesne, jak „Niemy” Kruczkowskiego, „Inżynier Saba” Wirskiego, czy też inne sztuki współczesnych polskich autorów, które ukazały się już na naszych scenach, lub też tkwią jeszcze w autorskich tekach. Warto zastanowić się nad możliwością sfilmowania najwybitniejszych dzieł klasycznego polskiego teatru, co umożliwiłoby dotarcie wielkiego repertuaru dramatycznego w najlepszym wykonaniu aktorskim do oddalonych od wielkich centrów kulturalnych wsi i miasteczek, a zarazem utrwaliłoby wielkie kreacje aktorskie dla przyszłych pokoleń na tamie filmowej. Warto przypomnieć przy tej okazji, że radzieckie filmy: „Sad honorowy”, „Spotkanie nad Łabą”, „Harry Smith odkrywa Amerykę”, oparte są na współczesnych sztukach teatralnych, a niezwykle wartościowy film radziecki „Grzesznicy bez winy” nakręcony został na podstawie sztuki Ostrowskiego pod tym samym tytułem.

Nowe wynalazki stwarzają zawsze zupełnie nowe możliwości twórcze dla rozwoju kultury. Gutenberg sprawił, iż obok minnesengerów i trubadurów pojawili się autorzy powieści. Wynalazek filmu, radia i telewizji stwarza zupełnie nowe rodzaje i możliwości twórcze, które nie zostały jeszcze w dostatecznej mierze zrozumiane i wykorzystane przez autorów. Film zdobył sobie już prawo obywatelstwa, jako odrębna dziedzina twórczości kulturalnej. Swym masowym charakterem, możliwością dotarcia do dziesiątek i setek milionów widzów, staje się on wraz z radiem i telewizją (w przyszłości) najpopularniejszą dziedziną transmisji dóbr kulturalnych do masowego odbiorcy. „Najważniejszą ze wszystkich sztuk jest film” — stwierdził Lenin. „Film jest najlepszym środkiem masowej agitacji” — oto słowa Stalina. Niechaj pamiętają o tym pisarze i dziennikarze, obecni i przyszli autorzy scenariuszy. Od ich pracy zależy bowiem rozwój polskiego filmu, a więc w dużej mierze również rozwój polskiej kultury.

Roman Szydłowski

MARIA CZANERLE

UWAGI O PROGRAMACH TEATRALNYCH

Nasza polityka repertuarowa wychodząca ze słusznego założenia, że nowego widza należy karmić pełnocennym dorobkiem kultury własnej i obcej, nie brała na ogół dotąd pod uwagę bardzo istotnego faktu, że ów nowy, często „zorganizowany”, widz teatralny, przychodzący do teatru nieraz po raz pierwszy w życiu, nie ma w większości swej odpowiedniego przygotowania. Stąd trudności, odnoszące się zwłaszcza do arcydzieł epok minionych, dla których zrozumienia potrzebny jest najprzystosowany bodaj komentarz o autorze, o czasie akcji, o stosunku autora do zagadnień społecznych swego czasu. Bez owego komentarza zarówno Plaut i Sofokles, jak Szekspir i Dickens, Gorki i Czechow, Racine i Molier, mogą być niezrozumiani lub źle rozumieni. Nawet w wypadku właściwego zrozumienia fabuły utworu scenicznego, nieznajomość jego historyczno-społecznego tła zuboża niezmiernie zakres i rezultat jego kulturalnego oddziaływania. Sporo przykładów dostarcza odbywający się obecnie festiwal sztuk rosyjskich i radzieckich. Sztuki epoki krytycznego realizmu „Na dzień”, „Jęgor Bułyczow”, „Wassa Zeleznowa”, podane bez komentarza, rzadko bywają w świadomości niewykształconego widza właściwie umiejscowione w czasie. Trudność stworzenia odpowiedniego komentarza dotyczy zarówno jego treści jak formy. Komentarz musi bowiem ujmować istotny, zgodny z prawdą społeczną epoki, ideologiczny sens utworu a jego forma powinna być strawna i chwytliwa, łatwo docierająca do widza.

Każda z trzech najpopularniejszych form komentarza: krótkiego słownego wstępnego, poprzedzającego przedstawienie, programu drukowanego omawiającego utwór, oraz dyskusji zorganizowanej po przedstawieniu — ma swoje dodatnie i ujemne strony. Słowo wstępne wygłoszone przed przedstawieniem nie dociera często do świadomości widza nie znajdującego jeszcze utworu; programy drukowane są w większości wypadków zbyt drogie dla „zorganizowanego” widza; dyskusja po przedstawieniu nie chroni widza przed niewłaściwą reakcją i niezrozumieniem spektaklu w czasie jego trwania. Wymieniając owe

doraźne i narzucone widzowi formy komentarza utworu scenicznego, omijam świadomie jedną z najbardziej usankcjonowanych jego form — recenzje teatralne. Ich rola wydaje się należeć do okresu większego życia się i zaznajomienia nowego widza z teatrem, z jego literaturą.

Pozostawiając sprawę znalezienia najodpowiedniejszych form udostępnienia widoków teatralnych wspólnemu doświadczeniu teatrów i świetlic (dyskusje o przedstawieniach należy być organizowane w świetlicach przy udziale ludzi teatru) — należy jednak zastanowić się nad treścią komentarza, niezależnie od jego formy. Dla unocznienia stanu panującego na tym odcinku przytoczę przykłady paru programów, obrazujących kilka rodzajów stylu komentowania utworu teatralnego. W programie Państwowego Teatru Polskiego w Poznaniu, wydanym z okazji „Fedy” Racine’a, czytamy: „Nie tylko jednostki, czasem także i społeczeństwa przysłaniają twarz maską. I nieraz, gdy patrzymy w oblicza epok lub narodów, nie łatwo rozstrzygnąć, co tu posiada miękkość żywego ciała, a co twardość maski i jej chłód. Nam, którzyśmy przywykli do organicznego rozumienia kultury, maska wydać się może chimera, czymś złudnym i nierzezywistym, jako że w myśl wszechobecnego prawa istnienia i nieorganicznej maski musi być tworem organicznym. Lecz codzienne nasze doświadczenie przeczy takiej metafizyce i poucza nas o doczesności maski, które bliźni nasi nieustannie nakładają: gdy mówią, gdy milczą, gdy pracują, gdy odczytują. Może nawet gdy śnią? To pozwala nam przypuszczać, że i maska, którą nazwać by można „historyczną”, jest też czymś realnym”. Tak jest postać programu i w tym stylu ujęta jest czterostopniowa całość (ściślej część pierwsza, zawierająca właściwy komentarz literacko-społeczny, zatytułowana „Wersal i widma”). Nie chodzi tu o awanturę o sens tego, co tu zostało napisane, tak czy owak, nie można go dojrzeć do „maski” zawilej, kwiecistej frazeologii. Po przeczytaniu całego programu, zawierającego obok wspomnianej części również Racine’a „Przedmów do Fedy” i „Sprawozdanie z działalności Pań-

stwowego Teatru Polskiego w Poznaniu za sezon 1948—49”, dochodził się do wniosku, że Jean Racine, poeta dworu wersalskiego i epoki Króla-Słońca, który tworzył dla garstki „wyrywanych z gruntu ojczyzynto” arystokratów, piął swój komentarz do „Fedy” prościej, jaśniej i przejrzyściej, niż dyrektor PTP z epoki demokracji ludowej. A przecież na stronie 13 tegoż programu dyrektor ten chlubi się „ogromną, do 50 proc. dochodzącą ilością biletów ulgowych” i „najważniejszemu zadaniu” teatru określa jako „wciągnięcie wszystkich sfer społeczeństwa na widownię, szerzenie wśród nich kultury artystycznej i literackiej”.

Świetny skądinąd w swej technice, pomysłowości i inteligencji Teatr Rapsodyczny w Krakowie, schodzi na manowce nieodpowiedzialnej, pseudonaukowej żonglerki literackiej, kiedy pokazany przez siebie na scenie utworom usiłuje w programach dać własną ocenę. W programie do „Lorca Jima” Conrada czytamy m. i.: „Mało jest złyh, wielu nieszczęśliwych — jakby to sformułował jeden z najciekawszych dramaturgów nowożytności chrześcijaństwa, Karol Hubert Roztworowski. Można tu jeszcze, zrodnie zresztą z nauką naszej moralności, założyć nawet, że niemal każdy ma jakąś swoją Patnę w życiu i swoje srebrniki, tak jak i swoją drogę do Damazku. Ostatecznie w aspekcie zrozumienia niedoskonałości człowieka krzepnie postawa twórcy wobec zjawisk życia. Może w przymacie ewangelicznych przypowieści o marnotrawnym czy jawnogrzeszniczy krystalizuje się ostateczny punkt widzenia rzeczy. Etyczny światonagłód twórcy „Lorca Jima”. Akt jakiegoś wszechogarniającego, chrześcijańskiego przebaczenia, o mocy rozładującej grozę i bezwzględność antycznego tragizmu. Nowożytny katharsis” (str. 4). A w zakończeniu, gdzie bohater „odchodzi od żywej kobiety, aby zawrzeć bezlistne ślubny z miłym idealnym postępowania” mamw takie zestawienie: „Coś z Sulowskiego, Judyha czy Przelęckiego. Romantyczny Polak. Jeden z nas...” W programie tegoż teatru do „Beniowskiego” czytamy: „W r. 1949 wydano 85 proc. biletów zniżkowych na legitymację Zw. Zaw. oraz dla młodzieży szkół średnich i wyższych”. Wynikałoby stąd, że porównanie bohatera „z mglistym ideałem postępowania” do „jednego z nas” odnosi się do robotników zrzeszonych w związkach zawodowych i uczące się młodzieży, że im to tłumaczy się „ewangelicznymi kategoriami” charakter zjawisk literackich i takimiż metnackim stylem treść i ideologię utworu. Wydaje się, że po przeczytaniu programu do „Lorca Jima”, robotniczy widz, który to i owo z przedstawienia zrozumiał, wyjdzie z teatru zupełnie głupi, nie pojmuje po co wystawia się utwory, dla których treści ideologicznej sami organizatorzy nie znajdują jasnego, zgodnego z prawdą i z postępowymi założeniami naszej epoki wytłumaczenia.

Sądzę, że to pobieżne sprawozdanie daje pojęcie o trudnościach, jakie wylaniają się przed zespołem, inscenizującym „Burzę”. Tym wyżej należy ocenić ambicję i wysiłek teatru kielecko-radomskiego, który sięgnął po te wielką, a nieznana dotychczas w Polsce pozycję rosyjskiego repertuaru. Zwłaszcza, że wysiłek został uwieczniony całkowitym powodzeniem.

Czyja w tym zasługa? Wydaje mi się, że równy w niej udział wszystkich ogniw inscenizacyjnych, a jeśli na wstępie wymieniam reżysera, *Hugona Morycińskiego*, czynię to w myśl tradycji, która indywidualne sukcesy każe podporządkować całości. Reżyser na ogół trafnie wydobyl tekst sztuki, oddał realistycznymi środkami jej nastrojowość, podkreślił zestawieniami sytuacyjnymi koloryt epoki (znakomita scena pożegnania Tichona przed wyjazdem). Z aktorów na początku wymienię: młodą aktorkę — *Marię Homerską*, która trudną rolę Katieriny natchnęła dużym talentem i szczerością przeżycia. Sugestywną sylwetkę zawiadaci nakreślił *Ryszard Pietruski* (Wania Kudziarz). Wyrównany w sensie pozytywnym zespół tworzyli *Jerzy Rygier* (Diko), *Lubomir Jabłoński* (Tichon), *Maria Pińskiego* (Barbara), *Natalia Plucinska* (Fieklusza, paticzka) i *Hanna Maikowska* (Pani z dwoma lokajami). Duże zastrzeżenia budzi natomiast *Edward Appa*, nieprzekonywający i zbyt zimny Borys oraz *Hrymiecicz* — *Winklerowa*, dobra w sylwetce zewnętrznej, nie umiejąca jednak wykorzystać bogactwa, twierzącego w rol Kabanichy. Zmarszczone brwi i szkielet tubalny głos to trochę mało dla wydobycia z tej postaci całej grozy i okrucieństwa charakteru. Również Kuligin w interpretacji *Edmunda Biernackiego* budzi tym więcej sprzeciwów, że zamiast wyjaśnić, zaciemnia komentarz ideologiczny sztuki mało plastycznym, rezonerskim wygłaszaniem tekstu. Wydaje mi się, że w tych rolach zaczęły brak kontroli reżyserskiej. Dziecinny do postug grała ze zbyt dużym wdziękiem jak na taki drobny charakterystyczny *Maria Lomazanka*.

Oprawa scenograficzna — bardzo trudna — pięć aktów, a w każdym inna dekoracja — domaga się zarówno dla projektodawcy *Jerzego Feldmana* jak również dla 12-osobowego zespołu technicznego z brzygadierem sceny *Janem Wiktorskim* i elektrykiem *Stefanem Dudzicem* uznania bez zastrzeżeń.

Przedkładu dokonał *Jerzy Sędrzejewicz* kierownik literacki teatru, nagrodzony ostatnio pierwszą nagrodą za doskonałe tłumaczenie „Dalekich lat” Paustowskiego. Tak więc „Burzę” na sceny polskie wprowadził i to do brzo wprowadził młody teatr kielecko-radomski.

Bogdan Butryńczuk

„Burza” w teatrze kielecko-radomskim

Aleksander Ostrowski (1823 — 1896) porusza w „Burzy” (1859) jeden z najaktualniejszych wówczas problemów, mianowicie sprawę emancypacji kobiety, uwolnienia jej spod uciążliwych praw i obyczajów rodzinnych, które zwłaszcza w środowisku kupieckim trwały w całej swej ponurej okazałości. Centralną postacią dramatu jest Katierina (tłumacz zachował oryginalne brzmienie imion), żona Tichona Kabanowa, której marzy się, a nawet egzaltowana natura buntuje się przeciw zakłamanemu otoczeniu. Katierina nie znajduje moralnego oparcia w mężu, którego nie kocha, z tym większą też siłą wybuchnie w niej miłość do Borysa —

Postawa Kuligina, komentującego fakty rzeczowym językiem zdrowego rozsądku jest źródłem tego optymizmu, który charakteryzuje „Burzę” jako dzieło realizmu krytycznego. Bodajże Kuligin w sposób najbardziej bezpośredni oddaje ideową wartość sztuki, przepowiada upadek mrocznych czasów, demaskuje strach przed postępek despotycznych czcicieli zacofania.



Scena zbiorowa z aktu piątego „Burzy” Aleksandra Ostrowskiego

„grzeszna” miłość, wiodąca do katastrofy.

Dramat Katieriny nie jest dramatem jednostkowym. Jej śmierć jest ostatecznym akcentem artystycznym, wzmagającym pesymistyczny wymowę faktów — ale miasteczko jest przeciw grobem, ze zwłokami żywych ludzi.

Katierinie przeciwstawiona jest jej despotyczna siostra Kabanicha, uosobienie ciemnoty i nieczystości, maskowanej idealami patriarchalno-cerkiewnej tradycji. Z tej samej gliny ulepiony jest opiekun Borysa, kupiec Sawiej Prokofiewicz Diko, którego osobie Ostrowski demaskuje ekonomiczne korzenie zła.

Przewaga złyh sił jest tak miążdżąca, że lista ofiar poza Katieriną powiększa się z biegiem akcji o Tichona i Borysa, zbyt słabych na bunt i zbyt różnych od otoczenia, aby się mogli z nim pogodzić. W ten sposób dramat Katieriny, urasta do rozmiarów symbolu. Jej śmierć jest oznaką w rodzaju „zwyctwa za grobem”, triumfem prawdy, w imię której ginie. Jest zdecydowanym chociaż bezsilnym protestem jednostki. Taką jest ós dramatem sztuki.

Na wszelkie przejawy piękna jest on martwy, wręcz złowrogi. Ów spokojny horyzont tła dwa razy — w pierwszym i czwartym akcie — zaciemnia się chmurami nadciągającej burzy. Burza staje się niejaką bohaterem dramatu, wpływając na jego wynik, z drugiej strony stanowi coś w rodzaju naturalnej ilustracji przeżyć bohaterki w momentach dla niej decydujących, ilustracji narastania wewnętrznego niepokoju Katieriny walczącej ze swą szlachetną miłością do Borysa i poczuciem popełnionego grzechu.

Ciekawym elementem kompozycyjnym, logicznie powiązany z całością, jest dwukrotne pojawienie się niby zwiastuna burzy — na pół obłąkanej, starej „pani z dwoma lokajami”. Kompozycje całego dramatu, cełując operowanie kontrastami tak w układzie sytuacyjnym jak w budowie charakterów. Podwójny wątek miłosny Katieriny i Borysa oraz Barbara i Kudriasza zbudowany jest na zasadzie artystycznego kontrastu. Ta sama zasada towarzyszy scenie nocnej schadzki w ogrodach, która polega na przeciwstawieniu wzniosłego patosu pierwszej pary — powszedniości drugiej.

(Dokończenie na stronie czwartej)

ZBIGNIEW STOLAREK

ALEKSANDER HAWRYLUK

Przełożył Wincenty Rzymowski

RĘKAWY PEŁNE SŁODYCZY

Jest w Tuileryjskim ogrodzie
basen z wodą, niby muszla płaski.
Po tej muszli śmiech dzieciaków co dzień
pędzi okręty — sznurkiem ciągnięte za maszt.

Pod zielonymi żaglami cienia
mamusia: — czytają, szydelkują swetry...
„To pani nie wie, pani Henaff?”

— Pani Henaff czyta z gazety: „Filip Gott, prezes
związku cukierników Stanów Zjednoczonych, wiezie do Fran-
cji dar związku dla dzieci ofiar wojny, sierot i kalek.”

— Na basenie jeden okręt zatonał... „Nie płacz,
mon petit,
dobry wujek cukierków w ręce ci nasypie!”
A malutki, rękawem pustym rozmasuje łyż:
„wszyscy więcej dostaną — bo w ręce obydwie.”

...Jedzie, jedzie wólcucie w papierku złotym
i srebrnym

dla dzieci-sierot i dla dzieci-kalek.
Napelni się, cukierkami też się napelni
rękawy, jutrzejszym podmuchem urwane!

...Jest w Tuileryjskim ogrodzie
basen z wodą, niby muszla płaski.
...Chodzi pod Tuileryjskim ogrodem, podchodzi
w helmie na głowie, Atlantycki Pakt.

USTA

Stał na brzegu przyplwyu ulicy
Kierownica roweru błyszczała w rękach
Których domyć z fabrycznego smaru nie dał pośpiech

Była biała była anielsko biała
pałka policyjna w ciżbie fabrycznych rąk

Miał usta pełne Marsylianki
Usta zatrasnęły się
Platy jak sadza zalepiły oczy
Dzwonek roweru dzwonił o bruk i koła
Kręciły się same leżąc na płask

Migotały szprychy coraz wolniej
Usta nie mogły złapać oddechu

K O R E S P O N D E N C J A

Od uczestniczki krajowej nadejści Obronców Pokoju Zofii Starzak
otrzymał list, który drukujemy jako zapowiedź jej współpracy w na-
szym piśmie:

TOWARZYSZU!

Chciałam dotrzeć słowa, jakie
dałam na naradzie Komitetu Obron-
ców Pokoju w Warszawie, a miano-
wicie, że Wam nadesłę moje, że tak
nazwę „buzgryoty”.

Na wstępie przepraszam Was, że
tak długo kazałam Wam czekać na
jakąkolwiek odpowiedź, ale praca
mam tak obecnie absorbuje, że nie
mogę zdobyć się na chwilę wolnego
czasu. Zresztą po powrocie z Warsza-
wy tyle nabrałam siły, że z nowym za-
pasem energii zaczynam przeglądać
moją dotychczasową pracę, ażeby
zlikwidować jak najrybniej jej braki,
szukając lepszych dróg w celu
rozwiązania pewnych problemów.

Pomaga mi w tym, jak wszędzie,
broni krytyki i samokrytyki, którą
staram się włączyć. Dlatego też z
łatwością przychodzi mi zauważyć za-
rowno własne braki jak braki mojej
pracy. Stąd stać co trzeba zmieniać,
usuwać, udoskonalać.

Dumna jestem, że po tylu latach
dziś w Polsce kobieta staje się czymś
wartościowym. Wiem, że ta krytyka
wiekowa jaka mnie spotkała —
spotkała wraz z mną tysiące takich
kobiet, które nie dopuszone do wie-
dzy, nie mogły rozwinąć swych zdol-
ności. Nieraz talent jak iskra tklił się
na dnie opuszczonego umysłu chłop-
skiego dziecka i nie tylko nie był
rozniecony w wielki płomień twórczo-
ści literackiej, ale wręcz przeciwnie
świętokradzko i beztalentośnie deptany.

Nie myślę jednak, że wspomnie-
nia tych czasów wprowadzają mnie
w melancholijny wręcz przeciwnie, gdy
myślę o tej krzywdzie, jaka spotkała
całe masy dzieci chłopskich i robotni-
czych i gdy widzę, że jeszcze tysiące
z nich nie dają sobie nawet sprawy
z tej krzywdy, to palam straszną nie-
awidencją do tych, co w brutalny spo-
sób niszczyli taki potrzebny dla pań-
stwa materiał.

Wierzę mi Towarzyszu, że czując
dziwną pogardę dla ludzi, którzy mnie
krzywdzili, bo wiem, że walczyli niez-
szlachetnie, stając do walki z ciem-
nym nieuzbrojonym w świadomość
człowiekiem. I mimo ich ohydnych po-
stępowań w stosunku do takich mas,
z jakich się wywodzę, wyręczałam po
to, aby pomóc swą krzywdę i tysię-
cy takich jak ja. To mnie pcha na-
przód, to mnie uzbraja w nową siłę
i pójść nadal mówić wszystkim tym
nowym, prostym, z których wyro-
stam, o naszej słuszności, o naszej
sprawie.

Wskażę im jasną drogę, wskażę
im promień słońca, którego łakną —
ich jasną przyszłość w Polsce Socja-
listycznej.

Towarzyszu proszę o odpowiedź,
czy mam Wam jeszcze zakłócać gło-
wo moimi niedorzecznościami w
formie nowelki.

Kraków, dnia 23.XI.49.

Zofia Starzak

UWAGI O PROGRAMACH TEATRALNYCH

(Dokończenie ze str. trzeciej)

daje, wyrazić w komentarzu tea-
tralnym, mówionym lub drukowa-
nym. Najłatwiej tego dokonać ma-
jąc przed oczyma tego nowego wi-
dza, jego potrzeby i możliwości od-
biornicze, mając na uwadze, że dla
niego sztuka czy komentarz do niej
nie są jednym z wielu wrażeń kul-
turalnych, ale wrażeniem świeżym.
Komentarz do utworu oglądanego
ze sceny musi być prosty, zrozu-
miały, oparty na prawdziwej zna-
jomości przedmiotu, wyutyty z fra-
zeologii, odpowiedzialny i oszczęd-
ny w słowach.

Ceny programów teatralnych dla
widowni zorganizowanej wymaga-
ją rozpatrzenia przez Generalną
Dyrekcję Teatrów. Program, którego
cena wynosi 50 zł., a więc wię-
cej częstokroć niż cena biletu
związkowego nie dociera w prakty-
ce do robotniczego widza. A szkoda,
bo dobrze redagowany i do-
stępny (również pod względem ce-
ny) program mógłby spełnić pozy-

teczną rolę w stosunku do owego
widza, który potrafi niewątpliwie
być również chętnym i wdzięcznym
czytelnikiem.

Wydaje się, że w miastach posia-
dających kilka teatrów, miałyby
sens wydawanie wspólnych tygodni-
owych programów, zawierających
przebieg repertuaru z podaniem
obsady i krótkiej treści każdego
utworu oraz pewnej ilości zdjęć z
opisanych przedstawień. Programy
tego rodzaju, które miałyby za za-
datki ułatwić zainteresowanym orien-
towanie się w repertuarze oraz wy-
bór sztuki, mogłyby być sprzedawa-
ne w kasach teatralnych lub paru wy-
typowanych kioskach czy księgarni-
ach.

Marginesowa na pozór sprawa
komentarzy do sztuk teatralnych
zasługuje na przemyślenie i rozpra-
cowanie określonych w tym kie-
runku metod, od tego bowiem w
znacznym stopniu zależą rezultaty
pracy naszych teatrów.

Maria Czanerle

B E R E Z A (5)

— Reichstein — z pogroźką nagle
wystąpił zza węgła policjant. — Iles
czasu przeszedł w karcerze, draniu
jeden?

— Sto pięćdziesiąt dni, panie kom-
endant! — stanawszy na bacz-
ność, z wyrazem drewnianej, bezna-
miętej przepiśowości, wyrecytował
malec.

— I chciałbyś znowu tam się do-
stać?

— Bynajmniej, panie komendan-
cie — skromnie odpowiedział Reich-
stein.

— Nie? To czemu rozmawiasz?
Agitujesz, co?

— Nie, ja nie rozmawiałem —
wciąż tak samo skromnie odpowiada-
ł tamten, widocznie gotów z całym spo-
kojem pójść znowu do strasznego kar-
ceru Berezy.

— Znam ja ciebie — rzekł niepew-
nie policjant. — Marsz w inne miej-
sce. Dam ja ci agitację!

Malec odszedł, najwidoczniej zafra-
sowany tym, że nie udało mu się do-
prowadzić do końca złozonej mu in-
strukcji.

Bądź spokojny chłopcze, cel swój
osiągnąłeś w pełni. Wskrzesałem
mnie po prostu do walki. Nie słowy
swymi, ale tym, żeś mi wskazał, jak
powinien prawdziwy rewolucjonista
zachowywać się w warunkach Be-
rezy. Dzięki ci, ty prawdziwa „opo-
ko” w osobie prostego stolarza
z Tarnopola.

Mogli „oni”, ile zapragnęli, pastwić
się nad nami. Aresztantów Berezy,
upadających ze znużenia, zaprzęga-
no do furgonów, naladowanych kamie-
niami. Aresztantów Berezy zaprzę-
gano do potwornie olbrzymiego, wielo-
lotowego walu, ugniatającego szosę
— walu, obliczonego na siłę pociągo-
wą potężnego traktora. Aresztantów
Berezy można było bez końca ciskać
o ziemię, mrozić zimnem i targać w
kalużach błota. Lecz tego było jesz-
cze za mało dla dopięcia celu. Mądrzy
twórcy Berezy rozumowali tak: jeśli
niektórzy ludzie nie boją się nawet
wizytacji, nie cenią pomysłowości oso-
bistej, to należy wymyślić i stworzyć
takie warunki, które złamią każdego.
I oto rzucano człowieka do Berezy,
na czas nieograniczony, dając mu za-
razem możliwość natychmiastowego od-
zyskania wolności... za cenę podpisa-
nia prowokatorskiej deklaracji. Rzecz
prosta, spożytkowanie istotne samego
prowokatora było w rzeczywistości
sprawą drugorzędą, tryumfem był
już ten fakt, że komunista haniebnie
się zalał. Było to coś lepszego niż
fizyczne uśmiercenie choćby setki re-
wolucjonistów, ci bowiem, którzy po-
legli z honorem, żyli nadal w gniewie

ci, usiłujący skryć swój upadek.
Chociaż, ściśle mówiąc, w Berezie
była to rzecz nie do ukrycia: dekla-
ranta czuło się na kilometr. Trudno
to wytłumaczyć, ale pozostaje fak-
tem, że największym wygom nie udo-
ło się zmilczyć współwięźniów. Praw-
dopodobnie dlatego, że, aby się mas-
kować, niezbędne jest samoopanowa-
nie, deklaranci zaś częstokroć dlate-
go właśnie stawali się deklarantami,
że im nie starczyło samoopanowania.
Nadchodziła wiosna.

Prawie co dzień przybywały nowe
partie więźniów. W Berezie robiło się
coraz ciśnień. Z „sali przyjęć” dzień
po dniu rozlegały się lomoty pałek,
powtarzane echem po całym koryta-
rze. Wobec napływu nowych aresz-
tantów, władze warszawskie zmuszo-
ne były wypuścić tego lub owego spo-
ród dawnych więźniów. Zwyczajaj
w czasie zbiórki obiadowej wymie-
niano kilka nazwisk; wymienionych
stawiano twarzą do ściany, nas zaś
pędzono na „ćwiczenia”. Zegaliśmy
ich milczącym spojrzaniem, słu-
bującym trzymać się tak samo niezłom-
nie jak oni, aż do końca, jakkolwiek
by on był, i wyjść, o ile się to uda,
z wejrzeniem równie jasnym i spo-
kojnym jak ich wejrzenia.

Teraz już byłem „starym” berezia-
kiem. Orientowałem się w licznych
tajemnicach Berezy. Znałem jej skład
narodowościowy. Początkowo prze-
ważali Białorusini, ale po strajku w
Łodzi zmienilo się to „na korzyść”
Polaków, oni stali się „większością”.
Ukraińskich nacjonalistów nie było
w Berezie od dawna, a ostatnich „na-
rodowców” polskich — zwolniono
przy mnie. Pędzano mnie obecnie na
„robotę”, nie zaś na „ćwiczenia”.

„Roboty” w Berezie też były obli-
czone na nekanię ludzi i urzędzone
ten sposób, żeby jak najwięcej wy-
pruć sił z człowieka. Na przykład,
przymuszano nas dźwigać wory z
kartkami na plecach, jakkolwiek
można było je przewieźć o wiele pro-
ściej i łatwiej na wozach, stojących
tuż obok bezczynnie. Poza tym „robo-
ty” jak wszystko w Berezie, wykony-
wano „biegiem”; naladowaliśmy na
swo barki ciężką płytę betonową i
nieśliśmy ją na miejsce, uginając się
pod nadmiernym ciężarem, z powro-
tem zaś po nową płytę trzeba było
koniecznie bieć, kłusem. Zdarzało
się, że kogoś przymuszano biegać za
nieładną pracą, a po gwizdku, ozna-
miającym zmianę, utrudzonych ludzi
skazywano na taką gonitwę, że po-
wracali do sal ledwie, ledwie łapiąc
oddech w płuca.

Jednakowoż, w porównaniu z „ćwi-
czeniami”, roboty były rajem. Nie-
kiedy przecież robot nie starczyło,
i wtenczas wszystkich zagarniano na
„ćwiczenia”. Dlatego to bereziacy ży-
lili głęboki szacunek dla „robot”, na-
leżało zrobić jak najmniej, ażeby
starczyło pracy na jutro, na pojut-
rze. Staraliśmy się wykonywać mn-
stwo ruchów zbędnych i niepotrzeb-
nych, byle nie ukończyć roboty, byle
nazajutrz nie popędzono nas na
„ćwiczenia”. Na szczęście, zima ów-
czesna była dobrą dostarczącielką ro-
bot: dniami i nocą hulały zamiecie, z
szarych chmur sypał śnieg, i po ca-
łych dniach odmiatałyśmy go mioteł-
ką lub łopatką, usłużna zaś zawija-
ła z powrotem zasypywała za nami
drożkę swą miotłą potężną — śnież-
ną wichurą.

Wszelako chodziło nie tylko o to,
żeby samym wykręcić się od „ćwi-
czeń”, należało ratować od zguby i
towarzyszy. Do pewnego stopnia udo-
ło się nam to zorganizować. Zazwy-
czaj brano na „ćwiczenia” około stu
chłopców spośród nowicjuszy. Ogó-
łem było nas w Berezie powyżej czter-
stego, wprowadziliśmy kolejność:
przez trzy dni chadzano na roboty,
czwartego dnia wsuwano się do gru-
py, przeznaczonej na „ćwiczenia”. W
ten sposób ucisk „ćwiczeń” rozkładał
się mniej więcej równomiernie na
wszystkich, a poza tym od razu na-
wzajemniły styczność z nowicjuszami.
Policjanci, nie bacząc na nasze plec-
niomerowane, słabo orientowali się w
dobrej grup, naprzód dlatego, że
sami policjanci zmieniali się co ty-
dzień, powtóre zaś, nie przychodziło
im nawet do głowy, żeby ktoś dobro-
wolnie laź na „ćwiczenia”.

Stykając się z nowicjuszami miało
dla nas jeszcze jedno znaczenie wy-
jątkowo ważne: od nich dowiadywa-
liśmy się o zdarzeniach politycznych
w świecie. Nam, którzyśmy poświę-
cili siebie „zawodowo” sprawie prze-
budowy świata, nam, zespolonym w
jedno z tą sprawą, dawało się bole-
śnie we znaki to, że nie tylko nie
mieliśmy możliwości uczestniczenia
w walce politycznej poza Berezą, ale
nawet nie o niej nie wiedzieliśmy.

Prawda, coś niecoś dawało nam
niekiedy „czytanie” gazet podczas
sprzątania pokojów policjantów. Do
pracy tej starano się wyznaczyć de-
klarantów, a poza tym, była to pra-
ca, chociaż lekka, jednak obrzydli-
wa — mycie spłuwaczek i nocników,
czyszczenie butów i odzieży policjan-
tów, zamiatanie podłóg, wszystko na
palcach, aby panów komendantów nie
obudzić. A jednak na robotach tych
„obsadzano” kilku zręcznych towa-
rzyszów, mających za zadanie ukra-
dkiem odczytywać choćby tytuły z wa-
lających się po szafach i stołach ga-
zet. Czasami udawało się nawet ści-
gnąć gazetkę i przynieść na salę,
jakkolwiek za to niejednemu dosta-
wało się porządna porcja pałek, jeśli
nie karcer. Za to każdy więzień nowy
był dla nas jakby ostatnim numerem
gazety, a nieraz i całym przeglądem
politycznym.

Podczas pracy, niepostrzeżenie,
stary bereziak podsuwał się do nowo-
go i, nie odchylając się, pytał szep-
tem:

— Co tam w Hiszpanii?

Takie zawsze bywało pierwsze py-
tanie. Bohaterska, brocząca krwią
Hiszpania stała w ognisku uwagi.

Nowicjusz niespokojnie oglądał się
na dozorców i zaczynał opowiadać.

Drugie pytanie: — Co słychać na
wolności o Berezie? Jak toczy się
walka o zniesienie Berezy? — Zrozu-
miało, dlaczego bereziacy intereso-
wali się tą sprawą.

W porównaniu z nastrojem pierw-
szych dni, było mi teraz o ileś le-
piej. W duszy jakby zatrzasnął się
jakiś zamek. Pamiętam, zauważyłem
już w pierwszych dniach, że chodzę z
zaciśniętymi zębami, zaciśniętymi
mocno, aż do bólu. Jąłem śledzić sie-
bie i za każdym razem chwytalem
siebie na tym samym. I szczęśliwie
rozluźniły się dopiero wtenczas, gdy
wyszłodem z Berezy. Taka była tech-
nika wytrwania. Osiągnąłem nie-
wzruszony spokój pod pałkami, spo-
kój zaciśniętych zębów.

Dla zobrazowania tego spokoju
chcę opowiedzieć o tym, jak w Bere-
zie odnalazłem w sobie dość równo-
wagi na to, ażeby, no, jakby się tu
wyrzucił... rozpocząć „pracę litera-
cką”. Nie pisać, oczywiście, ponieważ
za ostrych ołówek, za świstek pa-
pierny wypadłoby zginąć pod kijami.
Zaczęłem tworzyć poematy. To jest w
umyśle moim już się kształtował poe-
mat. Zaczęło się od tego, że nocy
dwudziestej (zapamiętałem dokładnie
— dwudziestej) po raz pierwszy miał-
em w Berezie sen. Sen był dziwny i
wyrzynał: śniło mi się, że mówię
wiersze, cudowne, wzruszające. I w
wierszach tych, jak refren, powta-
rzały się słowa: „Więc cóż mam po-
cząć, gdy taki wypadł mi los”. Byłem
w jakimś tragicznym upojeniu
od swych wierszy, lecz, ocknąwszy
się, przypomniałem sobie, prócz re-
frenu, jedno tylko zdanie... „ptaki
leciały ku słońcu nad Berezą i w serce
raniły mnie krzykiem wiosennym”.
Wyteżając pamięć, doszedłem do
wniosku, że żadnych wierszy w ogóle
nie było, oprócz kilku myśli i obraz-
ków. Lecz nastrojów pozostał we mnie
tak wyraźny, napięty i wzruszający,
że poddałem mu się od razu. Szybko
jęły rysować się w moim mózgu
kształty poematu, poematu zaciśnię-
tych zębów. Trzeba powiedzieć, że
dotychczas wierszy prawie nie pisa-
łem (pominąwszy wczesne dzieciń-
stwo). Ale bez zapisywania kompo-
nować i zapamiętywać można tylko
wiersze, a przy tym każdy nastrój
wznioślejszy dąży do przeobleczenia
się w formy rytmiczne, dźwięczne,
muzyczne. I strofa po strofie jąła się
układać w mojej głowie. „Pieśń z Bere-
zy”. Dużą pomoc wyświadczył mi to-
warzysz katuszy, miłośnik poezji, Ja-
kub Rapaport.

Jego pamięci, jak papierowi, po-
wierzałem każdą nową strofę, aby
spokojnie móc w dalszym ciągu pra-
cować nad następnym czterowier-
szem. A wszak wiadomo jest, że im
jak trudniej bywa, nie utrwalają
na papierze, pamiętań wiersze wię-
ksze, skoro jeszcze proces twórcy nie
uległ zapomnieniu i nie stłumyły
wszystkie warianty próbne. O wiele
łatwiej od razu zapamiętać wiersze
może ten, kto usłyszy je w redakcji
ostatycznej. I towarzyszy Rapaport
pamięta dotychczas.

Drogi Rapaporte, drogi Prawinie.
Nadszedł czas, i my wszyscy spotka-
liśmy się w radzieckim, naszym
Lwowie.

Lecz wróćmy do naszych wierszy.
Tak stworzyłem w Berezie trzy roz-
działy poematu, który ukończyłem
już na wsi i ogłosiłem drukiem zupeł-
nie niedawno. I do tego swego dzieła
życiwej najtkliwszą miłość, praw-
dopodobnie nie za jego zalety arty-
styczne, lecz za pamięć o warunkach,
w których się ono urodziło.

Niespodziewanie nowicjusz przy-
niósł do Berezy niezwykle ważną dla
mnie wiadomość, która głęboko mnie
przejęła: na wolności podjęto wielką
kampanię o moje oswobowienie.

Ten, kto nie zagnał tego, nie zdoła
sobie wyobrazić, jak olbrzymie zna-
czenie dla więźnia politycznego ma
wieść o tym, że świat odzywa się na
jego więzienie. Radosną falą ogar-
nia cie uczucie jednoci z światem
i ścisłej łączności z walką, której nie
mogą położyć kresu ani bagnety, ani
muzy więzienia. Wiesz, że ciępienia
twoje są uzasadnione, nie przypad-
kowe, i że miejsce twoje w szeregu
zajmują dziesiątki innych bojowni-
ków. Jest to radość tak wielka, że
i okowy przestają ciążyć. Przeżyłem
radość tę po dwakroć: naprzód, gdy
jako wyrostek siedemnastoletni po
raz pierwszy dostał się do więzienia
i tam się dowiedział, że młodzież
większa, w imię solidarności, poszła
uprawić rolę mojej matki, a po raz
wtóry — teraz w Berezie.

O szczególnych trudnościach było do-
wiedzieć, lecz wszyscy nowi dopty-
wali się, co za figura jest ów Hawry-
luk, o którego taki hałas podniesiono
w kraju.

Wstydziłem się teraz swoich minut
przygnębienia, wstydziłem się, że
uderzenia mnie botały i dręczyły,
wstydziłem się tego jak niewdzięcz-
ności wobec świata. Uznałem siebie
za niegodnego tak wielkiego zaufa-
nia. Nie czułem się godny, by imię
moje podnoszono jako hasło walki z
Berezą, jak podnosił imiona nie-
ugiętych i nieustraszonych. I sponi-
wałem sobie, że nigdy już nie ponię-
żę się do zgrzyoty i przygnębienia, ni-
gdy nie wyda mi się ból trudny do
zniesienia.

Towarzysze wróżyli mi rychłe wyj-
ście na wolność.

Wkrótce po tym otrzymałem wie-
domość inną, o charakterze przeciwn-
ym: skierowano przeciwko mnie akt
oskarżenia, w którym pociągano
mnie do sądu za zabójstwo. Zabój-
stwo szpiega policyjnego.

(Dalszy ciąg nastąpi)

„JESTEM LAIKIEM W SPRAWACH LITERATURY...”

Do Redaktora „Odrodzenia”

Czytuję z zainteresowaniem dys-
kusje naszych literatów na temat
współczesności w twórczywie litera-
ckim. Jestem laikiem w sprawach
literaturnych, jako absolwent politeh-
niki zajmuję mnie za bardzo ro-
bienie dyplomu i praca w przemy-
śle, żebym mógł dłużej czytać, jed-
nak sprawy te obchodzą mnie szcze-
rze, dlatego chciałbym wtrącić swój
głos szarego czytelnika do tej dys-
kusji literatów, w której wszyscy
pracowicie analizują swoje trudno-
ści i błędy, ale nie podają (oprócz
może Bohdana Czechki) wyjścia z
impasu. Oczywiście dyskusja toczy
się dookoła literatury beletrystycz-
nej, która ma dwa cele: bawić i uc-
czyć, kolejność tych celów zależy
od punktu widzenia, z punktu wi-
dzenia społeczno-politycznego waż-
niejszym celem jest uczyć, dla czy-
telnika natomiast — bawić. Od lite-
ratury wymaga się trudnej rzeczy:
uczyć w interesujący sposób, i tu
właśnie leży cała trudność naszych
literatów — uczyć może by i umie-
li, ale nie potrafili zrobić tego za-
jmując, a dlaczego? Być może dla-
tego, że — jak to powiedział Mao
Tse Tung — patrzą oni na życie od
strony drobniomieszczanstwa i nie
dostrzegają lub nie znają tematu
interesującego obecnego czytelnika,
nie wiedzą, co go zajmuje, a jeżeli
by i temat taki znaleźli, to może
boją się przerosnąć akcją w środo-
wisko szarego człowieka „z masy”,
bo go po prostu nie znają. Jako do-
wody wystarczy przytoczyć spis cel-
niejszych utworów powojennych —
w jakim środowisku toczy się ich
akcja i jaka jest ich tematyka?
Więc: machinacje kilku sanacyjnych,
konspiracja, obozy koncentracyjne,
Niemcy, „zaraz powojenna” zawie-
rucha itp. Otóż wszystkie te tema-
ty są, że się tak wyrażę, „bezwzględ-
nie” interesujące, szczególnie zaś dla
inteligenta, ponieważ może on sobie
wyobrazić siebie w roli któregoś z

bohaterów utworu i przeżywać wraz
z nim akcję i konflikty, które ukaza-
ł mu autor. No tak, ale powyższe
tematy już się skończyły i trze-
ba szukać innych. Mnie się zdaje,
że temat sam do literata nie przy-
chodzi, trudno stworzyć coś dla chło-
pa, lub robotnika, których życie to-
czy się w zapadłej wiosce lub w
okręgu przemysłowym, siedząc so-
bie wygodnie w wielkim mieście
i dowiadując się o osiągnięciach
człowieka pracy jedynie z gazet
i radia. Warto by tak przyjechać
na jakiś miesiąc np. na Śląsk, wy-
ręczyć się na miesiąc wielkiego mia-
sta, „atmosfery kulturalnej” itp.
i zgłosić do jakiegoś huty czy kopal-
ni w małej górnośląskiej miejscie,
w jakimś Chebziu czy Rudzie, poła-
zić po fabryce i pogadać z robotni-
kami, dowiedzieć się jak mieszkają,
co robią w środę, co w sobotę i w
niedzielę, samemu zobaczyć jak wal-
czą o wykonanie planu, jakie mają
trudności itp. Mczna tam znaleźć
dużo ciekawych rzeczy, niedawno w
kilku śląskich zakładach odbywały
się procesy sabotażystów — co za
świątyni temat do powieści sensa-
cyjnej! A czy był któryś z naszych
literatów na hucie podczas nocnej
zmiany i czy dostrzegł jej potężną
poezję? Parę miesięcy temu radio
katowickie ogłaszało pamiętniki jed-
nego z przodowników pracy w gór-
nictwie, w opracowaniu dobrego li-
terata, mogłyby się stać one pasjo-
nującą powieścią. Albo czy któryś
literat przyjrzał się stanowisku in-
żyniera kierującego ruchem wielkie-
go zakładu, ile znalazłby tam te-
matów. Jak dobrze te tematy wy-
korzystywane są w literaturze ra-
dzieckiej — łatwo się przekonać.
Trudno — w obecnej rzeczywisto-
ści literaci muszą opuścić swoje
sanktuaria i dosłownie wejść w
kombinacje między ludzi pracy,
poznać ich, ich pracę i pisać dla
nich.

Stanisław Szkot
(Gliwice)

Od drobnorolnego chłopca ze wsi Korzeniec otrzymał list i wiersz,
z których jeden drukujemy, prosząc o nawiązanie z nami ściślejszego
kontaktu.

... Jestem drobnorolnym chłopem
„biedniackiej” wsi Korzeniec (w po-
wiecie olkuskim) ... Nie wiem czy to
wypada nawet przesłać te wiersze,

Z wierszy

RODZINNY LASEK

Mój rodzinny laszek
to brzmi: jak zabawczki
wystrugane dzieciom do zabawy.
Tu nie ważne inne wrażenia:
jakby parku zielony parkan
wpada w oczy ten las
Pieknie tutaj mieszkać.
Dniom rymy układa las
Szum liryczny jest rozmową
Tręścią wolny wiatr,

J. Hlond

„HALKA” W MOSKWIE

6 listopada w przeddzień Święta Teatr Wielki w Moskwie wystawił „Halke” Moniuszki. Po kilku dniach „Halka” zabrzmiała również i ze sceny opery kijowskiej. Przedstawienie moskiewskie, przygotowane od kilku miesięcy, stanowiło duże osiągnięcie artystyczne i znalazło swoje odbicie w szeregu recenzji, jakie zamieściła prasa radziecka. Podajemy niżej wyjątki z gazety „Sowieckoje Iskustwo”:

„...Opera „Halka”, ciesząca się zasłużoną popularnością w oczyma kompozytora, zarówno pod względem treści, ideologii jak i zasad muzycznego myślenia bliższa jest najlepszym, przoduącym tradycjom rosyjskiej opery klasycznej, a więc bliższa, zrozumiała i ciekawa dla nas — spadkobierców tej tradycji.

I tak, jak rosyjska opera narodowa odnawiała właściwy sobie wyraz w walce z zagranicznymi wpływami, tak i najlepszy przykład polskiej opery narodowej — „Halka” nie od razu znalazła zrozumienie w Polsce. Przeżyła dziesięć lat upłyńnię od chwili skomponowania opery, będącej ulubionym dziełem kompozytora do chwili pierwszego jej wystawienia w 1858 r. w warszawskim teatrze, gdzie dotychczas panował repertuar włoski.”

Ukazanie się „Halki” w repertuarze Teatru Wielkiego ZSRR jest wybitnym muzyczno-społecznym zjawiskiem, jest wyrazem braterskiej solidarności i przyjaźni dwóch słowiańskich narodów, dwóch rodzimych kultur. Treść „Halki” (libretto Włodzimierza Wolskiego, tłumaczenie Nila Biriukowa) zbliżona jest do „Rusalki” Puszkina — Dargomyrskiego...

Przedrewolucyjna tradycja wystawienia tej opery, która zachowała się i podczas pierwszych lat rewolucji w tych niewielu teatrach prowincjonalnych, gdzie ją wystawiano, sprawadła jej treść do miłośnego melodramatu, który był traktowany w odpowiednio konwencjonalny sposób.

Pracę zespołu Wielkiego Teatru śmiało można nazwać drugim narodzeniem opery Moniuszki. W oświecającej, wyrazistej, pełnej talentu inscenizacji reżysera B. Pokrowskiego „Halka” po raz pierwszy zabrzmiała jako silny dramat społeczny, dramat uciemięzonego narodu, w którym dojrzewa stopniowo protest, zwiastujący przyszłe jego zwycięstwo. Wyssokie dramatyczne napięcie nie jest właściwie muzyce Moniuszki. Jej żywiołem jest szczerza liryczna. Czar jej polega na urzekającej prostocie, szczerości, praw-

dzie, splewności, mającej swe źródło w słowiańskiej, a przede wszystkim w polskiej pieśni ludowej. Te właśnie cechy muzyki Moniuszki — emocjonalna prawda, niezafalszowana ludowość pozwoliły reżyserowi na maksymalne uwypuklenie społecznych i demaskatorskich tendencji oraz dramatycznego patosu.

Mistrzostwo dyrygenta K. Kondraszyna i piękne brzmienie orkiestry, oddającej cały czar tej prostej i bezpośredniej muzyki, stanowiły dobrą podstawę dla wcielenia koncepcji reżyserkiej i stworzenia żywych, ludzkich obrazów.

Prawdziwie i pełne poezji są dekoracje artystów M. Sapegina i M. Piotrowskiego.

Ciemieży i uciemieżeni, lud i szlachta — to przeciwstawienie leży u podstaw widowiska, przenika je od pierwszego do ostatniego obrazu. Przejście ludu od gorzkiej pokory i głuchej utajonej nienawiści przez narastanie gniewnego protestu do groźnego otwartego buntu przeciw ciemieżom w finale — oto reżyserskie ujęcie tego tematu.

„Halka” — to przedstawienie o ludzie, który cierpi i przeciwstawia się, o ludzie, którego czeka ciężka walka, ale do którego należy przyszłość.

Koncepcje reżyserskie są w tym przedstawieniu odwzorowane znakomicie przez wykonawców głównych postaci.

Młoda śpiewaczka H. Sokołowa doskonale odtworzyła partię Halki. Jej głęboko emocjonalny śpiew w połączeniu z nieprzeciętnymi zdolnościami aktorskimi stwarza wzruszający i niezapomniany obraz nieszczejliwej dziewczyny.

Jontek w wykonaniu G. Neleppa nie jest cierpiącym lirycznym bohaterem. Główny motyw jego zachowania nie stanowi współczucie dla Halki ani miłość nierozłącznej miłości. Artysta czyni z postaci Jontka buntownika, oskarżyciela, potencjalnego wodza przyszłych powstań chłopieckich. Przekonywa obraz Zofii (I. Maslennikowa), ślicznie, ze pełnym lalenictwem, którą martwi i niepokoi cudze nieszczęście, o tyle, o ile przysiania jej własne triumfy.

Janusz w wykonaniu P. Lisicjana to człowiek surowy przebiegły, ale przede wszystkim tchórzliwy. Boi się prawdy, jak i całe jego środowisko, budujące swój dobrobyt na krwi i łach ludu.

Cały zespół aktorski stworzył doskonałą i harmonijną całość wyrażającą konsekwentną linię dzieła i cieszącą zarówno mistrzostwem wokalnym jak i scenicznym.

Złą byłoby jednak oddać usługę teatrowi, gdyby mówiąc o wzruszającym przedstawieniu nie wspomnieć o niektórych jego brakach. Nie wiem, czy trzeba na przykład w III akcie zachować naiwną, symbolizującą scenę z wroną przelatującą nad wsią. Nie bacząc na to, że zarówno reżyser jak i tłumacz przezwyciężyli mistyczny osad tej sceny (stworzony przez autora libretta), mimo wszystko wypadła ona nieco z ogólnego realistycznego planu inscenizacji.

Jednak znaczna część tych braków stanowi niewątpliwie rezultat tylko technicznego niedopracowania spektaklu. Można być pewnym, że zostaną one usunięte w najbliższym czasie.

Wystawiając „Halke” po „Sprzedanej narzeczonej” zespół Teatru Wielkiego daje wyraz swej tendencji propagowania sztuk bratnich narodów słowiańskich. Podkreśla krajem niewątpliwym sukces teatru, życzymy mu i nadal równie owocnej działalności.

Zofia Jareńko-Żytyńska

T. Leontowska

ZOFIA JAREŃKO-ŻYTYŃSKA

Muzyka polska w nowych Niemczech

„Przyjmujemy z wdzięcznością wszystkie kontakty ze światem z zewnątrz, gdyż mamy do wypełnienia luki, powstałe w naszych wiadomościach wskutek nieszczęsnej izolacji ostatnich lat. Szczególnie o nowej kulturze muzycznej w Polsce wiemy naprawdę bardzo niewiele”.

Tak rozpoczął recenzję z gościnnego występu polskiego dyrygenta Witolda Rowickiego w Lipsku sprawozdawca dziennika „Leipziger Volkszeitung”. Rozmowa z Rowickim o jego wrażeń z pobytu w Dreźnie, Lipsku i Berlinie potwierdza w pełni prawdziwość tych słów. Są to, rzecz jasna, nie tylko, odruchy naturalnej reakcji na długoletnią izolację. Są to przede wszystkim wyniki wyjątkowej pracy nad przebudową mentalności Niemców, nad przywróceniem kulturze niemieckiej ducha humanizmu, nad zwalczaniem zatrucia tego narodu jadem „hitlerowskiego „światopoglądu”.

W strefie radzieckiej stwarzając przesłanki dla powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej unikano łatwych wyników automatycznego przedstawiania się na nowo tory.

Ten trudny, głęboki proces przebudowy świadomości społecznej, dotyczy również zmiany stosunku do sprawy polskiej; wytenienie z korzeniami wszczętanej Niemcom nie tylko wreszcie w epoce hitleryzmu pogardy i wrogości wobec wszystkiego, co polskie, nie może się oczywiście dokonać z dnia na dzień. Sprawa polska jest tylko jednym z ogniw w łańcuchu spraw obejmujących proces demokratyzacji Niemiec. Jest jednak jednym z ogniw zasadniczych. Nie wszędzie jeszcze wiadomości o Polsce Ludowej przyjmowane są bez pewnego sceptycyzmu. Nie wszędzie i nie zawsze słowo mówione czy pisane o naszych osiągnięciach, o dynamicznym rozwoju naszej gospodarki i kultury, ma dostatecznie przekonującą siłę. Wszędzie jednak, podkreśla Rowicki, daje się zaobserwować potrzebę, niemal głód faktów udowodniających to, co Niemcy dzisiaj o Polsce słyszą i czytają.

Występy Witolda Rowickiego nie były pierwszym po wojnie zetknięciem się publiczności niemieckiej z naszą muzyką i wykonawcami. Upřednio już bawili w Niemczech wschodnich znakomita śpiewaczka Bandrowska - Turska, skrzypczka Umińska, pianiści Koczański, Szpiński i Szymanowicz, dyrygenci Fiteberg i Panufnik. Niemniej, zaproszenie polskiego dyrygenta i urzalenie z inicjatywy niemieckiej koncertu symfonicznego poświęconego w całości muzyce polskiej, jest niewątpliwie wydarzeniem wielkiej wagi dla dalszego rozwoju współpracy kulturalnej z Niemiecką Republiką Demokratyczną. Znaczenie tego koncertu jest tym większe, że został on powtórzony w całości w Berlinie, gdzie Rowicki dyrygował bawiącą tam na występach gościnnych filharmonią drezdeńską, oraz częściowo w Lipsku, z tamtejszą orkiestrą radiową.

W czasie drezdeńskiego festiwalu muzycznego (Dresdner Musiktage 1949), na który został zaproszony Rowicki, wykonywana była w ramach różnych koncertów muzyka radziecka, czeska, węgierska i niemiecka. Muzyce polskiej poświęcono w tym szczególnie wiele uwagi, wypełniając ją oddzielny program. Koncert ten składał się z utworów Moniuszki, Karłowicza, Szymanowskiego i Malawskiego, pozwalał więc słuchaczom zaznajomić się z rozwojem muzyki polskiej na przestrzeni ostatnich stu lat.

Niewątpliwie interesujące dla nas, charakterystyczne dla oceny zagra-

nicznego zasięgu muzyki polskiej, są wypowiedzi prasy niemieckiej na temat tego programu. Uwertura do opery „Halka” Moniuszki i „IV Symphonie concertante” Szymanowskiego zostały przyjęte najwyżej. Recenzje ujmują trafnie przy czynę ich powodzenia. Oba te utwory, choć rzecz jasna, każdy w sposób odmienny i w stylu swojej epoki, czerpią inspirację ze źródeł ludowych. W Moniuszce frapuje słuchacza zagranicznego świeżość i bezpośredniość interpretacji motywów ludowych, u Szymanowskiego zaś przetworzenie inspiracji ludowej w dojrzałą, nowoczesną formę muzyczną, wypowiedzenie swojej treści polskiej środkami wyrazu właściwymi całej muzyce współczesnej. Do wielkiego powodzenia IV Symfonii przyczyniło się niewątpliwie również doskonałe, poprzedzone rzetelnym przygotowaniem odtworzenie partii fortepianowych przez młodą, utalentowaną pianistkę francuską Norę Boulanger, pracującą ze szczególnym zapalem nad utworami kompozytorów współczesnych i rozpowszechnianą w Niemczech współczesną muzykę Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej.

Poemat symfoniczny Karłowicza „Stanisław i Anna Oswiecimowie”, utwór słuchany zawsze chętnie przez polską publiczność, cieszył się wśród publiczności niemieckiej stosunkowo najmniejszym powodzeniem. Recenzje podkreślają zgodny olbrzymi wpływ Ryszarda Straussa na twórczość Karłowicza, nie więc dziwnego, że muzyka ta nie spotkała się z takim oddźwiękiem, jak utwory wymienione poprzednio, zarówno tematycznie jak układem rytmicznym bardziej charakterystyczne dla narodowego wkładu Polski w ogólny dorobek muzyczny.

Uwertura Malawskiego, jeden z najnowszych utworów młodego kompozytora, znalazła szczególnie ciepłe przyjęcie wśród słuchaczy w Dreźnie. Recenzje zwracają uwagę na słowiańską żywiołowość i znamionującą doskonale opanowanie sztuki kompozytorskiego instrumentacji.

Zetknięcie się polskiego dyrygenta z zespołami o tak dużej tradycji jak filharmonia drezdeńska czy radiowa orkiestra symfoniczna w Lipsku, obfitowało w wiele ciekawych momentów. Rowicki podkreśla, że właśnie ciągłość tradycji i rutyna długoletniej pracy zespołowej to niewątpliwie pluse tamtejszych zespołów. Pod tym względem my zwalczamy wciąż jeszcze skutki minionej wojny, ale niezależnie od tego i nawet niezależnie od przedwojennego stanu naszych orkiestr, orkiestry niemieckie świadczą o dużym zdyscyplinowaniu, zapale i umiejętności zespołowej pracy. Członkowie orkiestry pracują po sześć godzin, przy czym w miarę potrzeby ilość prób zwiększa się przez zastosowanie godzin nadliczbowych. Ale rutyna w pracy artystycznej ma zawsze obok pozytywnych także wiele momentów ujemnych. Na przykład przy próbach odegranej w czasie koncertu w Lipsku VI symfonii Czajkowskiego ujawnił się w orkiestrze przesadny sentymentalizm, uważany niesłusznie za jedną z cech muzyki słowiańskiej.

W recenzjach prasy niemieckiej uderza mnie trafność kilku uwag dotyczących techniki dyrygenckiej Rowickiego. Sprawozdawcy niemieccy podkreślają, że światnemu opanowaniu techniki, zwanemu możliwości poszczególnych instrumentów, dokładności i celności odtworczej towarzyszy u Rowickiego indywidualna, przemyślana interpretacja, wnioskująca zawsze trafnie

w różnorodnie style muzyczne, subtelna, twórcza intuicja, duży ładunek emocjonalny i siła sugestii, działająca na każdego członka orkiestry.

Utrzymane w tym tonie wypowiedzi o naszej muzyce i naszym młodym dyrygencie przyczyniły się niewątpliwie do wzmożenia zainteresowania polską kulturą muzyczną wśród społeczeństwa niemieckiego. Jest to tym cenniejsze, że obecnie otwierają się nowe drogi współpracy z Niemiecką Republiką Demokratyczną, kształtująca życie swego kraju w oparciu o osiągnięcia i pomoc wszystkich krajów demokracji ludowej.

ANDRZEJ BRAUN

CIEMNOŚĆ

Czochara noc warkocze czarne,
kulakiem wierzbi ścierając lzy gwiazd —
swój niki kształt wycisnął w darni,
gdy przez kawerny w płucach gwizdał.

Nie było kogo zawiadomić,
sekretarz kota stał — gazety?...
Latały ręce i — kurwamać...
— te słupy wyły jak kobiety.

Skądże ta noc — dopiero dzień drgał
u podsińnych powiek chmur.
Elektromonter Paweł Zięba
za światło komunizmu zmarł.

Słup był podcięty gdy się wspinał —
klamry u nóg, niby kajdany.
Sylwety klucz i pięćciolinal
drutów drga w pieśni rozekany.

Przygniotło mu gruzliczą klatkę,
pośmiertny kształt zachowa trawa,
czerwony poległemu kwiatek
na grób. Z ust pianę pszczoła starła.

Było nas sześciu. Studebacker
izolatorów pełen porcelany
lśnił jak gołębnik. My na przekór
oświetlić ciemnych chałup ściany.

Przez klechów dzwonkiem podbrzona
szła nietoperzy, cichcem, tuszcza —
i dalej z egzorcyzmem do nas
zamiast tercjarki wywlec z łóżka

Nad nimi Pawła kombinezon
rozkrzywiony jak drogowskaz
Splwał — „opinie mają niezłą...“
a pod beretu kulka — troska.

A potem szron kwaśnego mleka
i nieba dno, ucięte drzemką,
myśl w trzcinach marzeń taka lekka,
że komu przez łeb mogło przemknąć.

Trzeba było przez wojnę, faszyzm
przeżyć, przez grząskie dni rewolucji,
trzeba było twardych ust naszych,
aby życie ich zrobić ludzkiem.

Nie przetrziesz dziś arterii życia,
już pieśń na drutach wątku szuka.
Gdy własną gałąź cieli skrycie
sieć zawodziła niby suka.

I wspomnę oczy, staw zadumy,
zbiegłe w komunistyczną przyszołość —
niechaj mu świeci światło wiekiste
od dzisiaj — elektryczność.

JANUSZ BOGUCKI

GRZECHY I CNOTY PLASTYKI NA FESTIWALU W POZNANIU

Faktem powszechnym i zastanawiającym we wszystkich pracowniach sztalugowych wszystkich uczelni (z wyjątkiem jedynej może szkoły łódzkiej) jest to, że nigdzie nie widać bodaj skromnego śladu określonych zadań szkolnych, które 1) pozwalałyby poznać metodę pedagogiczną profesora; 2) dawałyby podstawę do oceny pracy mistrza i ucznia opartą o porównanie warunków zadania z osiągnięciem przez studenta rozwiązaniem.

Imponująca rewia aktów, pejzaży i martwych natur zdaje się natomiast świadczyć o tym, że uczeń w pracowni malarskiej niemal bezpośrednio ze stadium plastycznego niemiowolęta przeskakuje w mistrzowską dojrzałość i swobodną pewność realizacji. Spręczyjmy więc z kolei, jaki jest zakres tych realizacji i tej tak wczesnej mistrzowskiej swobody. Nawet bardzo pobieżny rzut oka na całość materiału malarskiego poucza nas, że wiedza i umiejętność tak szybko i sprawnie przekazywana młodzieży akademickiej, zamyka się niemal bez reszty w granicach koloryzmu postimpresjonistycznego. Przylóżmy do tego zjawiska pierwszą miarę, a mianowicie próbiez rzeczywistości widzenia. Prace malarskie oceniane pod tym kątem przedstawiają się bardzo ubogo i niezradnie. Możliwość ogranicza tu już sam dobór motywów tematowych trzymający się najczęściej siłą bezwładnego nawyku, owej fikcyjnej i nieprawdopodobnej scenarii malarskiej zbudowanej z draperii, kwiatów, upozowanej nagości kobiecej, z butelek, gitar i owoców. Lubowanie się w tej fikcyjnej dekoracji narodowej ongiś w pracowniach mieszczańskich cyganerii artystycznej wydaje się dziś nie tylko pozycja martwa: jest ono również skutecznym (choć niezbędnie świadomie używanym) sposobem na odwracanie wrażliwości i wyobraźni od wszelkiej innej rzeczywistości rozgrywającej się poza obrebrami pracowni. Nie widzę żadnej racji artystycznej, aby uporczywym hodo-wla zmierzchnięgo świata odalisk i smutnych pajaków w kolorowych szalikach, zwiających wśród butelek, draperii i gitar — miała być nadal podtrzymywana w uczelniach artystycznych wbrew treści i formie prawdziwych zjawisk, które po brzeży wypełniają dzisiaj świat rzeczywistości.

Ma to swoje trwałe, dalsze konsekwencje dla rozwoju wyobraźni studenta. Żyje on w przekonaniu, że jedynym motywem treściowym, dopuszczalnym w wizji malarskiej jest maskarada, jakieś umowne przebranie, które ludzi i zdarzeń nie pozwala traktować zbyt serio. Te dziwne skłonności umysłu i wyobraźni ilustrują i potwierdzają wszystkie niemal kompozycje figuralne, w których wszelki temat sprowadza się najczęściej do uciecia bajkowo - dziecinnego lub też karłowatego - historycznego. Mam ogromny szacunek dla puźnicy Makowskiego i Waliszewskiego, ale opiswane zjawisko nie zdradza istotnych związków z ich szczerą i wielką sztuką — jest ono tylko żalną ucieczką przed światem realnym.

W ogromnej większości pracowni sztalugowych istotną treścią obrazów jest jedynie manifestacja temperamentu malarskiego w ubogich ramach umownego tematu i „kapistowskich” zasad analizy kolorystycznej. Wśród wyłączonej niemal troski o smakowite zestawienie barwnych plamek niknie zwykle nawet i to wale znaczenie przedmiotów, które można by wydobyc z sztuczności racjonalnego tematu. Akt staie się najczęściej tylko odczowieczona plama służąca do kontrastowania z bogatszymi kolorystycznie partiami wzorzystych tkanin. Jest to więc zwykle akt programowej degradacji postaci ludzkiej.

Ziawiska, występujące w mniejszym lub większym nasileniu we wszystkich pracowniach malarskich, mają niewątpliwie swe źródło w skłonnościach i postawach pokolenia artwistów dojrzałych, z którego wywodzi się profesorowie wyższych uczelni. Właściwie w znacznym stopniu ich twórczości oderwanie warsztatu malarskiego od podstawowego zadania tego warsztatu, jakim jest przedstawianie rzeczywistości obiektywnej — stwarza w szkolnictwie opisywany stan rzeczy: z jednej strony wyraża się on wieloostaciową tendencją antyrealistyczną, z drugiej strony pogarda dla fachowości tj. kształtowania talentu i umiejętności nabytych pod kątem ich użytkownika dla konkretnych potrzeb określonych środowisk ludzkich. Student, który w czasie studiów malarskich programowo był odcinany od realnego świata i realnych ludzi, którego nauczono jedynie wrażliwości analizy koloru i zasad bezprzedmiotowego komponowania na płótnie nie jest zdolny do żadnej właściwie pracy zawodowej. Jeśli nie nabeździe o własnych siłach jakieś użyteczne społecznie umiejętności — zostaje do końca życia obywatel fikcyjnego świata malarzy, świata „salonów” i pracowni akademickich wspartego go-podarczo o niepewną podstawę styndendiów i zakupów do galerii sztuki oraz o jedyne trwałe źródło

utrzymania: pensję profesorską. Przebudowawszy młode lata artysta dojrzał wiekiem, który zdobył katedrę — szkoli z kolei kilkudziesięciu młodych ludzi w umiejętnościach nie dających kwalifikacji do wykonywania jakiegokolwiek przydatnej ludzkiej pracy. Jeśli wyobraźmy sobie dalszy rozwój tego biegu rzeczy jeszcze bodaj przez lat kilkadziesiąt — cały proces życia i szkolenia artystycznego nabiera w naszych oczach cech jakiegoś tragicznego bezsensu.

Alę walka z obciążeniami przeszłości wymaga oparcia się o konkretne dziś istniejące wartości pozytywne i te wartości trzeba z kolei wskazać.

Tak więc wartość elementarną konkretnie istniejącą współcześnie i warunkującą dalszy bieg rozwoju sztuki i szkolnictwa artystycznego widze w mocnym szczerem głoście bliskiej człowiekowi realistycznej sztuki, której spragnione są milionowe rzesze prostych ludzi, mieszkających wsi i miast.

Wartość druga to coraz żywsze i głębiej uświadomione zniechęcenie młodzieży do sztuki estetycznej, odciętej od nurtu spraw rzeczywistych — zniechęcenie, z którym łączy się już dziś aktywna wola przekroczenia ciasnych granic akademickiego koloryzmu.

Wartość trzecia to ostrożnie i powściągliwie lecz wyraźne już próby wyjścia z dotychczasowych schematów kształcenia ujawniające się w pracy niektórych uczelni.

Z wymienionych zjawisk dwa ostatnie znajdują pewien realny wyraz na wystawach pracowni malarskich. Jeśli chodzi o młodzież, zademonstrowała ona próbę nowych rozwiązań malarskich w pokazie krakowskiej grupy ZAMP. Jakkolwiek trafność tych rozwiązań budzić musi bardzo poważne wątpliwości — samo ich podjęcie i umieszczenie na pokazie szkolnym uważam za fakt wysoce pozytywny. Obrazy „neo-barbarzyńców” — jak ich w Poznaniu nazwano — w samej swej formie są bowiem protestem przeciw akademickiej „ladności” powierzchwni plótka, głoszą ów protest zarówno doborem brutalnej tematyki jak i brutalną niezradnością wykonania malarskiego. Mimo niewątpliwych cech pewnej nieudolności i braku świadomej dyscypliny malarskiej, który powoduje grzęźnięcie w nieprzetrawionych elementach ekspresjonizmu i nadrealizmu — trzeba w tych pracach dostrzec i słuszną tendencję: 1) dążenie do mocnego określenia charakteru przedmiotów przez zwiększenie form i śmiałość różnicowanie barw lokalnych; 2) dążenie do plastycznego wyrażenia postaci i przedmiotów według ich hierarchii marzeńiowej wynikającej z tematu, a ze świadomym pominięciem naturalistycznej przypadkowości widzenia.

Jeśli chodzi o metody prowadzenia studiów, w której przejawia się inicjatywa pedagogów skierowana ku przezwyciężeniu szkieletowej wróżeniowości. (Na przykład u prof. Nachta - Samborskiego w Sonocie i u prof. Urbanowicza w WSSP w Warszawie). Niestety nie poparta zwykle rzetelnym przygotowaniem rysunkowym tendencja ta daje wyniki półowiczne: porządkuje wprawdzie powierzchnię plótka, nie stwarza jednak jeszcze istotnej przeciwwagi skłonnościom „dewaluacyjnym” opisanym powyżej. Również półowiczne wyniki dają na razie podjęte głównie w akademii krakowskiej próby malowania upozowanych scen rodzajowych o tematyce związanej z pracą ludzką.

Tak przedstawiałby się w ogólnym podsumowaniu wartości nowe lub częściowo nowe, pozwalające stwierdzić, że już dziś istnieje konkretna zadatki dla reformy studiów malarskich zmierzającej ku realizmowi. Wydaje mi się, że największe szanse rozwijania się w tym kierunku mają pracownie prowadzone przez profesorów, którzy i we własnej twórczości i w metodzie nauczania zachowali wyraźną niezależność w stosunku do akademickiego koloryzmu „kanistów”. Myślę tu np. o artystach tej miary co Zbigniew Pronaszko lub Eugeniusz Eibisch. Zarówno dzieła obu tych świetnych malarzy, jak i wyniki pracy ich uczniów pozwalają sądzić, że w obu wypadkach wspólny wysiłek profesora i studentów przelamać może skutecznie schemat dzisiejszego akademizmu, dając zapewne w Pronaszki rozwiązanie realistyczne w typie bardziej monumentalnym, u Eibischa zaś zbliżone raczej ku rodzajowości.

Kończąc tę refleksyjną relację o pracowniach malarskich na poznajskim pokazie, pragnąłbym podkreślić, że wszystkie wypowiedziane tu sądy dotyczą wyłącznie owych zadatków na zwrot ku sztuce realistycznej. Tym mocniej jednak wyrazić muszę przekonanie, że zwrot ów nie powinien odbywać się kosztem uszczerpienia istotnego dorobku dotychczasowego tj. przede wszystkim wielkiej kultury koloru i umiejętności organizowania go na płótnie. Chodzi o to, aby zdobyć te twórczo wykorzystywać, wyznacząc im właściwe miejsce i rolę w procesie kształtowania obrazu, będącego realistycznym wizażem naszego świata, nie zaś malarską medytacją o kolorach.

Janusz Bogucki

**RZEŻBY
HANNY NAŁKOWSKIEJ
BICKOWEJ**

Znana z szeregu prac przedwojennych rzeźbiarka Hanna Nałkowska-Bickowa pracuje obecnie nad monumentalnym pomnikiem „Stu straconych”, który ma stanąć w Zgierzu dla upamiętnienia miejsca stracenia podczas okupacji stu Polaków.

Wspólnie z art. - rzeźbiarzem Ludwikiem Heringiem wykonała Hanna Nałkowska pomnik Władysławy Bytomskiej, robotnicy i bojowniczki komunistycznej, która zginęła w 1938 r. z rąk oprawców sanacyjnych.

Przed paroma miesiącami reprodukowaliśmy w „Odrodzeniu” rzeźbę Nałkowskiej i Heringa „Włóknianka”. Z radością możemy powitać nowe, mocne w wyrazie, zwarte w formie, tematyczne rzeźby cenionej łódzkiej rzeźbiarki.



Pomnik Władysławy Bytomskiej w Łodzi



Fragment pomnika „Stu straconych”

JAN LENICA

PLASTYKA W PUNKCIE ZWROTNYM

Kryzys, w obliczu którego znalazła się plastyka niemiecka po upadku faszyzmu i jego obrońców, był niewątpliwie tragiczny i głęboki. Dzień militarnej i politycznej klęski hitlerowskich Niemiec teoretycznie oznaczał koniec sztucznie podtrzymywanej i troskliwie pielęgnowanej pseudosztuki, która swój je-

hitlerowskich i śmiał się gorzko z upadającej człowieka faszyzmu organizacją życia. Ale w późniejszych rysunkach znika jasno określony przedmiot, w Groszu budzi się mistyk i poszukiwacz bliżej nieokreślonej i abstrakcyjnej „prawdy”, uciekający od nie wiadomo skąd pochodzącego zła. W monografie Grosza, która ukazała się niedawno w USA z przedmową renegega Dos Passosa, znajdują się dwie wersje (rysunek i obraz) jednego tematu. Przedstawiają one człowieka wędrującego nocą wśród bagien i mijającego ledwo zarysowaną się wśród trzcin sylwetkę trupa, nad którym unoszą się kruki. Rysunek, na którym wędrujący człowiek posiada twarz autora, nosi tytuł „Nawet bagno ma swój koniec”. Z pewnością podobny do niego obraz jest zatytułowany: „Wędrowiec”. Prace Grosza z ostatnich lat, to portrety starszych lub młodszych pań, studia z natury kwiatów i skał oraz piękne, utrzymane w harmonijnym pastelowym kolorycie wizje drapacy chmur Manhattanu. Czy to jest cel, do którego dojrzał szczęśliwie po przebyciu niebezpiecznych bagien ów „Wędrowiec”?

Zyje jeszcze w Londynie Oskar Kokoschka, lecz niewiele z jego twórczości przedostaje się poza obręb atelier, nie wiadomo jakie zmiany zaszły w jego świadomości plastycznej. Przerwał natomiast uporczywie, kilkunastoletnie milczenie John Heartfield, świetny, głęboko przejmujący fotomontażysta, ongiś stały współpracownik komunistycznego tygodnika „Arbeiter Illustrierte-Zeitung”, który, najczęściej na okładkach, zamieszczał antyhitlerowskie i antyimperialistyczne fotomontaże Heartfielda. Jest on wła-



Arno Mohr — Odgruzowywanie

dy cel widziała w apoteozowaniu mitu nadczłowieczeństwa. Z dwunastoletniego dorobku tej „sztuki” nie pozostało dziś kompletnie nic. Mimowoli sięga się więc myślą do tych wielkich nazwisk, które wytyczały drogę sztuce niemieckiej tuż przed dojściem Hitlera do władzy. Niestety, okazuje się, że skutki dyktatury hitlerowskiej są głębsze, niż się mogło wydawać, spowodowały one proces rezygnacji z poprzednio zajmowanego stanowiska jednostek nie dość silnych i wytrzymałych ideologicznie. I tak jeden z najciekawszych malarzy, przed 1933 rekiem liberalizujący pacyfista, o zdecydowanym obliczu postępowym Karl Hofer, który ostatnimi wypowiedziami dał wyraz swej obojętnej postawie, jako malarz nie wniósł — poza swoimi osiągnięciami z lat dwudziestych i trzydziestych, osiągnięciami klasycyzującego ekspresjonisty o posmaku surowej i chłodnej poezji — nic nowego. Interesując go obecnie tylko czysto formalne rozwiązania kolorystyczne. Nie jest to jedyny przykład artysty, który pozostawał przez cały czas w opozycji do hitleryzmu, lecz załamiał się wewnętrznie pod wpływem atmosfery terronu i beznadziejności, zrezygnował z walki i odgrudziwszy się od świata ograniczył się do rozwiązywania na płaszczyźnie obrazu zestawień form i barw. Ta zdrada klerków nie ominęła także, jak mi się wydaje, George Grosza, świetnego karykaturzysty, który skierował swą satyrę przeciwko burżuazji i mieszczaństwu, przeciwko pruskim junkrom i prawicowej socjaldemo-



Kurt Zimmermann — rysunek

ściwie do dziś jedynym i niedoścignionym przedstawicielem tego gatunku satyry politycznej, który wynałazł kiedyś wspólnie z Groszem. Na salonie drezdeńskim Heartfield wystawia znów szereg antywojennych fotomontaży.

Nie posunął się dalej Max Beckmann żyjący w USA. Wystawia on ostatnio w Kolonii wśród nie mających już od dawna nic do powiedzenia epigonów ekspresjonizmu, na wystawie „Deutsche Malerei und Plastik der Gegenwart”. Jeden z najwybitniejszych twórców kubizmu w Niemczech, Lyonel Feininger, jest jak i Walter Gropius — jeden z założycieli Bauhausu, zaliczany do grona artystów Stanów Zjednoczonych. Ze starej generacji jedynie Max Pechstein oraz Otto Dix potrafili zdobyć się na rozpoczęcie walki o nową sztukę dla nowego człowieka, potrafili zadokumentować swą postawę wypowiedzeniem się za obóz postępu. Pechstein — uczestnik Kongresu Wrocławskiego — jest dziś profesorem berlińskiej akademii sztuk pięknych.

Pustki, która w ten sposób powstała, nie można było od razu wypełnić. Nie przyczynią się do tego w pozytywny sposób próby rehabilitacji w Niemczech zachodnich takich aktywnych współczesników reżimu hitlerowskiego, jak Thoraka czy Gulbranssona. Pomimo to ruch plastyczny we wschodnich strefach Niemiec tzn. w obecnej Demokratycznej Republice Niemieckiej zaczął się dość szybko ożywiać. Powstał bardzo dobrze redagowany i drukowany miesięcznik poświęcony malarstwu, grafice i architekturze: „Bildende Kunst”. Poza całym szeregiem drobniejszych przeglądów zostały zorganizowane trzy wielkie wystawy: dwa salony w Dreźnie (drugi otwarty parę tygodni temu) oraz wielka wystawa tematyczna pod nazwą „Mensch und Arbeit” (Człowiek i praca). Z większych wystaw zagranicznych wymienić nale-

ży wystawę współczesnej sztuki radzieckiej, wystawę retrospektywną malarstwa polskiego oraz wystawę naszej grafiki. Prasa poświęca plastyce wiele miejsca, czasopisma Kulturbundu, „Aufbau” i „Sonntag” zamieszczają stale reprodukcje współczesnej grafiki i malarstwa niemieckiego (czyż nasza „Twórczość” nie mogłaby poświęcić w każdym numerze troszkę miejsca re-

slusnie mogłoby sięgnąć zarzut graficzności, Lingner dąży do indywidualizacji typów i sytuacji. Jego świeże i skryształizowane spojrzenie jest dla procesu kształtowania się nowego sposobu patrzenia przy równoczesnym przewyżczeniu ciężkiego stylu szkoły monachijskiej, bardzo orzeźwiający i świeży.

Sztuka w młodej Republice Niemieckiej przechodzi już przez swój



Max Lingner — Mężczyzna, kobieta i dziecko (tempera)

produkcjom naszej grafiki, która niewątpliwie na to zastępuje).

Podział polityczny, jakiemu uległy Niemcy, przeprowadził linię graniczną między dążeniami i poszukiwaniami środowisk artystycznych Niemiec wschodnich i zachodnich. Nieśmiało i po omacku błądzącym, oderwanym od swego środowiska jednostkom Zachodu przeciwstawił Wschód wielką kampanię o nową sztukę realizmu socjalistycznego. Dyskusja, która trwa już od dłuższego czasu jest, jak odnoszę wrażenie, bardziej zacięta niż u nas, i co najważniejsze, może ona opierać się już na znacznie większej ilości faktów dokonanych — dziełach plastycznych, które służą za podłoże do szerszej dyskusji i bardziej szczegółowej oceny osiągnięć i metod. Jak się to stało, że pomimo kryzysu starszej generacji wołanie o nową humanistyczną sztukę już w tej chwili dało znacznie lepsze wyniki, niż — zaryzykowałbym to twierdzenie — ma to miejsce u nas? Otóż do apelu stanęło obok malarzy starszych, którzy pracowali dotychczas tylko w zaciszu atelier młode pokolenie twórców rekrutujących się z szerokiego zaplecza młodzieży artystycznej, jakim Niemcy niewątpliwie rozporządza. Ogólnie biorąc tworząca się nowa sztuka dąży w swej metodzie do realistycznej syntezy bryły i koloru, nawiązując zresztą, jeśli chodzi o ten ostatni, do środków wyrazu często właściwych Cézanne'owi.

Ostatnio wrócił po 26-letnim pobycie w Paryżu do Berlina malarz i grafik Max Lingner. Lingner, aktywny członek francuskiej partii komunistycznej, przyjaciel Thorala i Cachina, po powrocie podporządkował Radzie Ludowej kolekcję 40 swoich prac, których tematami są głównie robotnicy Paryża, ich rodziny, praca, robotnicze osiedla podmiejskie i życie ich mieszkańców. Sztuka Lingnera, o szerokim oddechu lirycznym, jest kolorowa i radosna, nie ma w sobie nic wymuszonego, przy sprowadzaniu form do postaci bardzo uproszczonych, które nie-

punkty zwrotne. Akcja upowszechniania sztuki i dążenia do ściślej związaną jej z życiem daje powoli ale coraz lepsze wyniki, szczególnie w dziedzinie malarstwa monumentalnego, gdzie dla malarzy otworzyły się szerokie możliwości. Wydaje się jednak, że dopiero w toku pracy nad plastycznym wyrazem nowego życia mogą wyniknąć trudności, większe niż przy przewyżczeniu pierwszego kryzysu. Przyszłość okaże, czy zwiększanie na fałszywe tory ciągu kulturalnego przez faszyzm — które pociągnęło za sobą olbrzymie zwężenie horyzontów myślowych i ograniczenie zakre-



Karl Haffe — Żniwa

su środków plastycznych — nie pociągnie za sobą jeszcze innych, ukrytych na razie skutków. Od przewyżczenia tych trudności zależeć będzie, czy sztuka niemiecka wejdzie na drogę kontynuacji i wielkich tradycji realizmowego, przepojonego głębokim humanizmem dzieła Kaethe Kollwitz i Ernesta Barlach'a.

Jan Lenica

KRONIKA NIEMIECKA

**POLSKIE WYSTAWY
MALARSTWA I GRAFIKI
W BERLINIE**

Wystawa „Malarze polscy” zorganizowana w Berlinie przez Polską Misję Wojskową wraz z Towarzystwem im. Helmuta von Gerlach dla kulturalnej, gospodarczej i politycznej współpracy z Nową Polską za zgodą publicznego niemieckiego z twórczością 27 naszych malarzy — przede wszystkim XIX w. i spotkała się ze znacznym zainteresowaniem. Recenzenci stwierdzają, że mimo niewielkiej ilości eksponatów wystawa daje wystarczające pojęcie o poważnych tradycjach malarstwa w Polsce. Wielostronny jego rozwój w połowie ubiegłego stulecia jest dla publiczności niemieckiej niespodzianką wobec trudnych warunków politycznych, które panowały w Polsce pod rozbiorem, nie sprzyjając rozwojowi twórczości artystycznej. Szczególną uwagę zwracano na obrazy Matejki, Kostia i Aleksandra Giermskiego ocenianej jako pozycje wyjątkowej wartości.

ZE SCEN NIEMIECKICH

Na scenie Teatru Miejskiego w Lipsku ukazać się ma w bieżącym sezonie prapremiera nowej sztuki Friedricha Wolfa „Burmistrz Anna”. Na scenach teatralnych Lipska przewidywane jest wystawienie kilku sztuk współczesnych pisarzy niemieckich: Brechta „Fan Pantilla i jego parobek”, Weisenborna „Balada o Eulenspiegelu”, Feuchtwangera „Kalkuta”, Hochwäldera „Uciekinier”, Hauptmanna „Dziewice z Bischofsberg”, Wolfa „Młynarz z Cattara”.

Ze sztuk radzieckich wejdą na scenę: „Moskiewski charakter” Sofronowa, „Zwykły człowiek” Leonowa, „Matka” Gorkiego w adaptacji sceniczej Brechta i Weisenborna i „Chirurg” Korniejczuka. Repertuar klasyczny reprezentować będą: „Zbojcy” Schillera, „Świętoszek” Moliere’a, „Otello” Szekspira, „Trzy siostry” Czechowa oraz mniej znana sztuka Calderona „Soltys z Zalamea”.

Program scen lipskich w sezonie 1949/50 uzupełniają: komedia obyczajowa niedawno zmarłego węgierskiego reżysera i pisarza filmowego Beli Balazsa „Ziemska i niebiańska miłość” i współczesna sztuka Priestleya „Profesor Linden”.

**GOETHE
NA SCENIE I W KSIĄŻCE**

Berliński „Deutsches Theater” rozpoczął nowy sezon w roku Goethego wystawieniem „Fausta” w reżyserii i inscenizacji laureata niemieckiej nagrody narodowej — Wolfganga Langhoffa, zarazem odtwórcy roli tytułowej. Krytyka ocenia pochlebnie trafność, prostotę i głęboki realizm interpretacji dramatu ułatwiającej współczesnemu widzowi pełne odczucie jego trwałych wartości.

Lipski Teatr Miejski wystawił równocześnie „Fausta cz. I” w nowej inscenizacji Arpego, która spotkała się z dużym zainteresowaniem widzów robotniczej i została uznana przez krytykę za udaną realizację postulatów nowoczesnego i rozumiałego dla mas traktowania twórczości klasyków.

Pierwszy po wojnie obszerny wybór pism Goethego ukazał się we wschodnim Berlinie w dwóchsetną rocznicę urodzin poety nakładem „Aufbau-Verlag” jako nowe, popularne wydanie w sześciu tomach opracowane i opatrzone komentarzami przez Paula Wieglera oraz po-

przedzone aktualnym wstępem Aleksandra Abuscha.

„Thüringer Volks-Verlag” wydało jednotomowy wybór pism poety w opracowaniu Waltera Victora.

Obszerna praca monograficzna Johanna Rescha „Goethe — jego testament i wezwanie” wydana staraniem „Wolnej Młodzieży Demokratycznej” („Freie Deutsche Jugend”) stanowi jedną z najciekawszych pozycji krytyki literackiej w ostatnich latach. Materialistyczno-historyczna analiza osobowości twórcy Goethego wydobywa tu najistotniejsze problemy jego dzieł, oczyszcza obraz poety z mitów, idealizacji i fałszerstw.

60-LECIE LUDWIGA RENNA

Wybitny pisarz niemiecki Ludwig Renn (prawdziwe nazwisko: Arnold Friedrich Vieth v. Golsenu) obchodził w roku bieżącym 60-letnie urodziny. Droga życiowa i twórczość Renn'a należą do zjawisk szczególnie ciekawych i charakterystycznych dla epoki wielkich przemian. Urodzony w r. 1889 potomek arystokratycznej rodziny saskiej, do roku 1920 zawodowy oficer w snobistycznym pułku drezdeńskim, po zwolnieniu z wojska studiował w Göttingen i Monachium rusycystykę, prawo, ekonomię, a potem w Wiedniu historię sztuki, archeologię i orientalistykę. W r. 1925 Renn wydał swoją pierwszą książkę pt. „Wojna”, która uzyskała w Niemczech rozgłos nie mniejszy niż „Na Zachodzie bez zmian” Remarque’a. W r. 1928 zajmuje już zdecydowane i konsekwentne stanowisko polityczne, wstępuje do Komunistycznej Partii Niemiec, odbywa podróże do Związku Radzieckiego, a po powrocie do kraju bierze żywy udział w pracach organizacyjnych ruchu robotniczego. Wzięty w latach 1932—35 za „zdradę państwa” ucieka potem do Szwajcarii, gdzie wydaje powieść „Przed wielką przemianą”. Uczestniczy w walkach o wolność w Hiszpanii i jako szef sztabu XI Brygady Międzynarodowej i dowódca batalionu niemieckich antyfaszystów im. Thälmana, przechodzi przez francuski obóz koncentracyjny i dopiero w 1939 r. dostaje się do oceanu. Osiedla w Meksyku, wykłada do 1947 r. na Uniwersytecie w Moralia i równocześnie przewodniczy „Komitetowi Wolnych Niemców Ameryki Łacińskiej”.

Po powrocie do Niemiec podejmuje pracę naukową, działalność polityczną i społeczną na terenie radzieckiej strefy okupacyjnej. Jest profesorem wyższych uczelni drezdeńskich, przewodniczącym „Kulturbundu” w Saksonii, w r. 1948 przyjęty zostaje w grupie dwudziestu pisarzy niemieckich (obok Bechera, Seghers, Wolfa i i.) do międzynarodowego PEN-Clubu.

Pierwszą powojenną książką Renn'a jest powieść „Szlachta w upadku” („Adel im Untergang”) — autobiograficzny obraz życia w szkole wojskowej i służbie w junkierskim korpusie oficerskim przed i wojną światową. Z doskonałą znajomością środowiska demaskuje Renn snobizm, bezzmysłowość, nierobstwo, kastowość i upadek moralny szlachty i arystokracji. Poczucie obojętnej wobec otoczenia kieruje młodego oficera na drogę zainteresowania życiem podwalnych żołnierzy. Dostrzegane kontrasty rodzą w nim świadome krzywdy klasowej, co stanowi punkt wyjścia do dalszej ewolucji ideowej Ludwiga Renn'a.



Max Lingner — rysunek

kracji Niemiec po pierwszej wojnie światowej. W roku 1932 Grosz wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie przebywał dotychczas. Początkowo walczył w swej satyrze politycznej przeciwko stałe narastającej i coraz bardziej zagrażającej światu potęgze militarnej Niemiec



Józef Hegenbarth — Kobiety oczyszczające cegły

BART

KSIAZKI • KSIAZKI • KSIAZKI • KSIAZKI

JERZY KWIECIŃSKI

RANGA SZCZEROŚCI

Przedwojenna powieść rosyjskiego pisarza Jurija Krymowa*) jest jednym z pierwszych utworów literackich, poświęconych sprawie współzawodnictwa pracy. Akcja jej toczy się w 1935 r., a więc w pierwszym okresie ruchu, zapoczątkowanego przez gołnika Stachanowa. Odegrała ona niewątpliwie poważną rolę społeczną, ułatwiając popularyzację tego — tak kapitalnego — zagadnienia, dostarczyła się i zczę przed wojną przeróbki filmowej.

Mimo chronologicznej bliskości obu faktów to jest: narodzin ruchu stachanowskiego i jego literackiego odbicia w „Derbencie”, odbicie to jest wolne od wad doradczego raportu. Co więcej, wyjątkowa dalekowzroczność pisarza pozwoliła mu wiele problemów związanych z zagadnieniem współzawodnictwa postawić po raz pierwszy, wyprzedzając najbardziej doradne formy pisarskiego notowania życia, jak publicystyka, wiadomości prasowa itp. — Wyjątkowość tego zjawiska wyjdzie na jaw, gdy uprzytomnimy sobie, że książka nosi wszelkie cechy rzeczywistości przetworzonej artystycznie. Zastęga to — jak sądzę — nie tylko pisarskiego talentu Krymowa. Samo bogactwo treści etycznych i psychologicznych, które ujawnia się przy realizacji idei współzawodnictwa, proszą się o ujęcie w artystyczną formę. Znalazł ją Krymow chwytając trafnie problematykę zagadnienia.

Basow, racjonalizator, którego nowatorstwo spotkało się z niezrozumieniem i wrogością zręczniowców.

*) Jurij Krymow. Statek Derbent. Warszawa, „Książka”, 1948, str. 298 i 4 nb.

nego personelu technicznego idzie na nowy posterunek — na rozwojącą ropę tankowiec „Derbent”. Zostawia żonę, kobietę zdeorientowaną jego niepewnościami, wątpiącą, nie rozumiejącą patosu wysiłków swego męża.

Konstrukcja książki zasługuje na to, żeby się nią posłużyć przy omawianiu utworu. Rozdział otwierający go, zawiera kluczowe zagadnienie: „Dlaczego oni (ludzie z „Derbenta”) odpłyneli” — porzucając ginących towarzyszy. Wyjaśnienie przyplynie dopiero na fali kulminacyjnego napięcia akcji. Ze autor — nadając taki właśnie porządek faktom, nie zdegradował konstrukcji do roli chwytu, że jest ona tu formą wynikającą z pewnych, jeszcze nie ujawnionych konieczności treściowych — o tym przekona sama kulminacja.

Główny grzech dowódców „Derbentu” nie wynika z braku dobrej woli. Wynika on bowiem z klasowej wrogości przyczajonego sabotażysty. A zresztą „w kolektywie już brak dobrej woli jest przestępstwem”. Skutki bowiem są sprawą już nie tylko jednostki; odbijają się na losach społeczności — załogi.

„Ale nie tylko nieodpowiedzialna, sabotująca „góra” obciąża statek sumą wad, wystarczających w zupełności do sparalizowania funkcji tak złożonego mechanizmu, jakim jest „Derbent”. Załoga „Derbenta” — to dość przypadkowe zborowisko ludzi niezbytich z sobą, nie połączonych żadną wspólnotą — nawet zwykłym poczuciem solidarności obowiązków załogi statku. Cęła ta zgraja myśli tylko o tym, jak

wydostać się na brzeg. Wielu zapewne ucieknie jeszcze przed końcem żeglugi — i dalej: „Cóż można osiągnąć z taką zgrają?... T-taj trafil się ci, którzy aż do chwili odejścia statku szwendali się po wybrzeżu. Wielu z nich to pijacy, to chorzy nie nadający się do niczego”. Trudno będzie coś z nimi wskórać, rozważa mechanik Basow, inicjator współzawodnictwa. Pod jego spojrzeniem „twarze szarzej, zracie zważają się, uciekają zakryte rzesami. Ludzie rozpląsują się przed nim apatyczni, w niepokojący sposób podobni jeden do drugiego”.

Z wyjątkiem Basowa i — powalnego przez chorobę — kierownika politycznego mamy z pozoru do czynienia z beksztatną masą. Z tłumy wybijają się jedynie iskielki indywidualnej inteligencji i woli (Hussein) — energia Basowa rozdmucha je w płomień współzawodniczej walki.

Basow, nieustępliwy racjonalizator nie ustaje w staraniach o podniesienie wydajności przez zastosowanie nowych metod organizacji pracy. Z radością notuje fakty coraz to głębszych upokorzeń, doznawanych przez ludzi „Derbenta” od załóg innych tankowców.

Udaje mu się wreszcie rozbudzić załogę „Derbentu” rzuca wezwanie przodującemu tankowcowi i przystępuje do współzawodnictwa. Ten akt pociąga za sobą dnoście następstwa psychologiczne. Ujawnione notory działania jednostki w postaci cęci wybiła się, stania się „kimś”, przeplatają się w solidarną otąd ambiencję uczestniczenia w przodującym zespole. Podjęcie wyzwania wywołuje nowy wyraz na twarze ludzi.

„... opadło z nich jakgdyby leniwe odrętwienie, zastąpił je wraz zniecierpliwienia i gorącej ciekawości właściwej ludziom, którzy po raz pierwszy całą duszą oddali poważnej sprawie”.

Pod wpływem współzawodnictwa „motloch” przekształca się — w świadomą swych zadań załogę. „Derbent” może rozpocząć stachanowski rejs.

Jednym z pierwszych prolektów współzawodnictwa jest przyzwyczajenie starych norm. Do tego droga — przez wydobywanie tzw. ukrytych możliwości, a to znów ciągły proces nie kończący się bynajmniej z — i — lą usunięcia nadmiernego zapasu benzyny w celu zwiększenia pojemności ładunkowej. Bo stachanowski rejs nasuwa coraz to nowe problemy natury organizacyjnej i technicznej. Więc stopniowo, do pracy mięśni dołącza się coraz ściślej wysiłek umysłu. Bodziec emocjonalny tkwiący we współzawodnictwie ulla, via pełne zaobserwowanie uczestnika.

W harmonijnym zamięszaniu się pracy fizycznej z umysłową członkowie załogi „Derbenta” ukazują wyraźniej swe indywidualne oblicza.

Niepożądane okoliczności zagrażają przodującemu już teraz statkowi na jego drodze do zwycięstwa: rozwój wypadków przybliży kulminację. „Derbent” holuje uszkodzony tankowiec „Uzbekistan”. Wybuch „żar na „Uzbekistanie” groźny i dla „Derbenta”. Niebezpieczeństwo — rystawia załogę na ciężką próbę, do wództwo zalamuje się i uwalnia statek od niewygodnego sąsiada. a. Jednak przełom dokonany w psychice załogi okazuje się dość głęboki. Ten właśnie moment ważenia się decyzji, czyni autor punktem najwyższego napięcia akcji powieściowej. Dochodząc do postanowienia na wstępie, kluczowego zagadnienia: „Dlaczego „Derbent” odpłynął?” rozumiemy że wstępne pytanie nie było chwytem drażniącym ciekawości. To, że autor umieścił problem etyczny w punkcie kulminacyjnym wynika z ideologii socjalistycznego pisarza. Albowiem prawdę o załodze „Derbenta” poznamy nie z przebiegu pomyślnego lub niepomyślnego akcji ratowniczej. Poznamy ją już w krytycznym momencie wahań. Jest to prawda optymistyczna, całkiem oczywiście różna od pozorowanego optymizmu powieści o tzw. dobrym zak’ — eniu, gdzie fakt udania się przedśięwzięcia ma zaspokoić zmysł mor — y czytelnika. Tużaj, wybranie słusznej drogi zaderżywało o optymizmie książki i dlatego spięcie dramatyczne musiało się odbyć w płaszczyźnie moralnej, a nie „sytuacyjnej”. Wic nie schemat sytuacyjny, lecz realistyczny postulat socjalistycznego wartościowania etycego sformułował konstrukcję „Derbenta”. A sama akcja ratownicza przebiega zresztą pomyślnie.

Krymow, którego szerokie spojrzenie nawet przy najbardziej szczegółowym przedstawieniu warunków życia na statku, nie uległo naturalistycznemu ucieśnieniu, zachowując głębię realistycznej perspektywy, i w odniesieniu do jednostki — „azuje jednolitość postawy wartościującej.

Ocalenie głowy z niebezpieczeństwa i odzyskanie miłości żony — są wprawdzie uśmiechem losu, jednak nie o laskawości losu to chodzi. Przecież żona — kobieta, która kiedyś nie umiała być towarzyszką życia robotnika — rewolucjonistę — dojrzewa w czasie rejsów „Derbenta”. Jej charakter tworzy sam Basow w wet swa nieobecności. Chwila, gdy przy stole telegrafistki odbiera depeszę o tragedii płonącego na morzu statku stanowi o ostatecznym przełomie.

Basow zasłużył wybitnym zaletami i na taką nagrodę, lecz zasługa tu się liczy, nie nagroda. Wybór słusznej drogi, to jedyna konieczność, której wymaga od bohatera etyka Krymowa. Autor wymierzył jednostce sprawiedliwość w pełnej zgodzie z kryteriami stosowanymi uprzednio przy ocenie całego wi działnego świata.

Najlepszym posłowiem, z którego poznamy Krymowa, jako sprawcę i sprawiedliwego sędziego historii „Derbenta”, są jego listy z frontu. Pisane do najbliższych osób, utrwalają ostatnie miesiące życia autora.

Są dokumentem literackim wysokiej klasy, jako świadectwo zgodności poglądów Krymowa-pisarza i Krymowa-żołnierza.

Oto fragment z ostatniego listu pisanego do żony, znalezionej przy poległym pisarzu w przeddzień śmierci, a w dniu przyjęcia do partii. „... w bojowej sytuacji jestem w ogóle spokojny, a teraz do uczucia zwykłego zrównoważenia dołączyło się jeszcze nowe uczucie — duma. Świadomością tego, że przeżyłem całe życie swoje nie na próżno i jeśli przyjdzie umrzeć, umrę nie nadaremnie. I na Ciebie liczę. Jeśli zostaniesz sama, to Cię to nie zlamie”.

Swoją śmiercią Krymow kładzie podpis pod książką.

Prawda o śmierci Krymowa w walce o zwycięstwo słusznej sprawy jest równie optymistyczna, jak prawda o ludziach z „Derbenta”.

NAGRODY ZA PRZEKŁAD

Ogłoszony przez Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej konkurs na najlepszy przekład prozy radzieckiej wydanej w latach 1944 — 1948, został rozstrzygnięty. Sad konkursowy pod przewodnictwem Jarosława Iwaskiewicza przyznał następujące nagrody. Pierwszą nagrodę w sumie 100 tys. złotych — Jerzemu Jędrzejewiczowi za przekład „Dalekich lat” Pautowskiego i „W okopach Stalingradu” Niekrasowa. Drugą nagrodę — 75 tys. złotych Władysławowi Brogniewskiemu za przekład „Drogi przez mekę” Aleksiego Tołstoja. Trzecią nagrodę — 50 tys. złotych A. Sondeckiemu za przekład „Dzینگs Chana” W. Jana.

Wyróżnione zostały: Bilskiej — „Dziecinostwo” Gorkiego, Jerzego Pomianowskiego — „Poeta” Kapiljewa, Klonowskiego — „Szosa Wołokolamska” Beka, Jerzego Putramenta — „Czapajew” Furmanowa, Pawła Hertz — „Upadek Paryża” Erenburga.

NAGRODY ZA UTWOR POETYCKI

Ogłoszony przez Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej przy współudziale Ministerstwa Kultury i Sztuki konkurs na utwor poetycki o przyjaźni polsko-radzieckiej zakończył się przydzieleniem przez sąd konkursowy następujących nagród. Pierwszą nagrodę — 100 tys. złotych Ryszardowi Dobrowolskiemu za wiersz „Generał Walter”. Drugą nagrodę — 75 tys. złotych Stanisławowi Strumph Wojtkiewiczowi za wiersz „Ballada o kubku”. Trzecią nagrodę — 50 tys. Leopoldowi Lewinowi za wiersz „Nad grobem żołnierza radzieckiego”.

Dwie czwarte nagrody po 35 tys. złotych Włodzimierzowi Słobodnikowi za wiersz „Pod jednym płaszczem” oraz Danucie Janiszewskiej za „Toast 1 Maja”.

Poza tym wyróżniono Adama Włodką „Przyjaźnieli uśmiech”, Klemensa Oleksika „W styczniu 1945” oraz K. A. Jaworskiego „Testament”.

WYSTAWA RYSUNKÓW I LITOGRAFII WILLIAMA GROPPERA

W Warszawie w Domu Wojska Polskiego została otwarta wystawa znanego grafika amerykańskiego Williama Groppera, artysty, który — jak powiedział minister Dybowskiego na otwarciu wystawy — „do walki o pokój zmobilizował cały swój talent, całą swoją pasję twórczą i satyryczną”.

Rysunki satyryczne Groppera są wymierzone przeciw rasizmowi i kapitalistycznemu wyzyskowi człowieka pracy. Satyra jego demaskująca kulisy życia społecznego i politycznego USA, jest orzdem postępowych sił w Ameryce.

Gropper prócz satyry społecznej i politycznej wystawił prace wykonane w czasie pobytu w Polsce, których tematem są osiągnięcia naszego odbudowującego się kraju.

DNI SMETANY W POLSCE

W 65 rocznicę śmierci twórcy muzyki czeskiej Fryderyka Smetany od 25 bieżącego miesiąca rozpoczęły się w Polsce uroczyste otwarte koncerty symfoniczne w Filharmonii Warszawskiej, „Dni Smetany”.

Twórczość Fryderyka Smetany (1824—1884) przemawia po dziś dzień zromualim językiem. Smetana stworzył muzykę i operę narodową, „Sprzedana narzeczona” i „Pocałunek” są pierwszymi czeskimi operami ludowymi. Utwory symfoniczne, kameralne i fortepianowe oraz opery i chorały są dowodem jak nierozdzielnie związana jest realistyczna twórczość Smetany z

życiem ludu i tematyką współczesnej postępowej sztuki czechosłowackiej.

W Polsce w czasie trwania „Dni Smetany” odbędą się w wielu miastach koncerty symfoniczne (dyrygent czeski Wacław Neumann), przedstawienia operowe („Sprzedana narzeczona” z czeską solistką Zachardową w roli Marzenki), oraz występy wokalne czeskiego kwartetu smyczkowego Józefa Peszki, który na zaproszenie Ministerstwa Kultury i Sztuki przyjechał do Polski.

Polskie Radio transmitować będzie koncerty i występy kwartetu Peszki oraz nada szereg audycji, między innymi „Czechosłowacja przemawia do Polski”. W Szczecinie otwarta będzie wystawa pod nazwą „Bedrych Smetana — twórca czeskiej muzyki narodowej”, która odwiedzi i inne miasta polskie.

ROBOTNICY GRAJĄ W SZUKACH RADZIECKICH

Trwający obecnie Ogólnopolski Festiwal Sztuk Radzieckich dla zespołów świetlicowych został zainaugurowany inscenizacją „Matki” Gorkiego przez robotników Zakładów Przemysłowych Cegielskiego w Poznaniu.

Festiwal uaktywnił życie 1000 świetlic robotniczych, zapoznając aktorów-amatorów z bogatą twórczością klasyków i współczesnych dramaturgów.

W warszawskich teatrach urzmy popisy kilkudziesięciu zespołów, w tysiącach fabryk i na wsiach odbywać się będą przedstawienia 57 sztuk radzieckich. (W samych ośrodkach wlejskich zapowiedziane jest 2000 widowisk).

CZWARTY NUMER „LITERATURA RADZIECKIEJ”

Ukazał się październikowy numer miesięcznika „Literatura Radziecka”.

Zawiera on dwanaście rozdziałów drugiej części powieści odznaczanej nagrodą staliniowską młodego pisarza Wasyla Ażajewa „Daleko od Moskwy”, artykuł M. Szkiekina o klasie robotniczej w radzieckiej literaturze „Syłwetka robotnika” i L. Jakowlewa o literaturze Kazachstanu. Dalsze pozycje numeru stanowią essay krytyczny IIII Erenburga o Pablo Nerudzie oraz omówienie nowości radzieckiej prozy powieściowej i kronika ważniejszych wydań ostatniego miesiąca.

STEFAN ŻEROMSKI W PRZEKŁADZIE CZESKIM

Praskie wydawnictwo „Swoboda” po wydaniu „Wiernej rzeki” Żeromskiego w tłumaczeniu Józefa Rumlera, ze słowem wstępnym prof. uniwersytetu w Pradze Karola Krejczygo — przygotowało do druku „Ludzi bezdomnych”.

LEOPOLD STAFF PO CZESKU

Nakładem praskiej firmy wydawniczej V. Szmíd ukazał się wybór poezji Leopolda Staffa w przekładzie Jarosława Zwady pt. „Tragiczna falanga”. Wybór zawiera 30 utworów poety.

„PAN TADEUSZ” PO UKRAIŃSKU

Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej w Kijowie wydało bogato ilustrowanego „Pana Tadeusza” Mickiewicza. Przekładu na język ukraiński dokonał poeta Maksyma Rylski.

„HALKA” W TASZKENCIE

W Taszkencie stolicy Uzbekiej SRR odbyła się w Teatrze Opery i Baletu im. Alisizera Nawoi premiera „Halki” Stanisława Moniuszki.

igs

JAN JÓZEF LIPSKI

CZY DRUGA AMERYKA?

Wspólny tytuł, którym wydawca opatrzył dwie powieści Caldwell’a), pozwala się domyślać, że przeciwstawiono tu Amerykę z hollywoodzkich filmów — Amerykę wyższu i bezrobocia.

„Droga tytoniowa” spełnia tę zapowiedź w znikomym stopniu. Na trop wyjaśnienia, dlaczego tak się dzieje — naprowadza analiza jej budowy. Powieść ta jest wypadkową czterech mniejszych składających się na nią opowiadań. Dzięki zręcznemu powiązaniu sprawami one wrazenie zwartej całości i dopiero dokładniejsze przyjrzenie się — wykrywa liczne szwy. Niejednolitość ta dotyczy przede wszystkim praw, rządzących opisywanymi zdarzeniami — z czterech opowiadań — trzy rządzą się zupełnie odrębnymi, niemożliwymi do uzgodnienia prawami!

Nowela o zrabowaniu Lovell worka rzeper przez jego teścia Jeetera — i powieść o slubie syna Jeetera, 16-letniego Duda’a z 38-letnią kazon-dziejką Bessie dzielą całą „Drogę tytoniową” na dwie bardzo ostro rozgraniczone części. One to przede wszystkim wyznaczają bieg akcji, są aktualnością powieści — podczas gdy dwa pozostałe składniki są jej czasem przeszłym, istnieją na dalszym planie. Jeśliby poprosić czytelnika, znajdującego się pod bezpośrednim wrażeniem lektury, o streszczenie — opisałby prawdopodobnie tylko fabułę dwóch ważniejszych opowiadań. Tak się składa, że prawa nimi rządzące nie pozwalają uważać „Drogi tytoniowej” za reprezentatywny obraz „drugiej Ameryki”.

Panuje tu konsekwentna tendencja odczuwająca ludzi. Objawia się to głównie w prymitywności życia seksualnego, któremu autor poświęcił bardzo dużo uwagi. Ellie May, córka Jeetera zaleca się do Lova peiżnąc ku niemu i wydając z siebie kwik... Duda i Bessie obejmują się i „ocierają” o siebie, nie krępując się obecnością świadków... Ale i pod innymi względami postępowanie ludzi jest takie same, jak postępowanie zwierząt. Babka i Ellie May np. chowają się wciąż za drzewami, unikając otwartej przestrzeni. Człowiek został tu pod wszystkimi względami zredukowany do najprostszych funkcji fizjologicznych. Nawet język osób powieści jest kształtowany głównie przez wruszenia mające źródło w fizjologii. Stąd wywodzą się takie cechy stylistyczne (istniejące, można przypuszczać, nie tylko w przekładzie, ale i w oryginalne) — jak napastliwość wciąż tych samych słów i zwrotów u głośnego Jeetera, powtarzającego prawie w każdym zdaniu „rzepa”, „rzepie”, „rzepka”; jak naiwna epickość relacji Jeetera, Duda’a, Bessie, którzy tak przeżywiają każdy drobniaczek, że muszą opowiedzieć choćby po raz setny jego historię od początku świata; jak wreszcie budowa dialogów, w których każdy z partnerów tak jest zajęty swymi przeżyciami — że nie potrafi zrozumieć rozmówcy. Ba — nawet narrator mówi takim samym językiem, ubogim w abstrakcje, komunikującym tylko o tym, co widział i dotykał, ulegającym ta-

kim samym napastliwościom, jak język Jeetera.

Czytelnik szukający sensu opisywanych tu wydarzeń, napotyka w pewnym miejscu na takie niedużoznaczone zdanie: „Duda był trochę głupkowaty, podobnie jak jeszcze jedno czy dwoje innych dzieci w rodzinie”. Zestawmy te informacje z zapęcają wargą Ellie May, z brakiem nosa i erotomanią Bessie, z epizodem poślądania przez Lesterów zamkniętych w pokoju Duda’a i Bessie. Okazuje się, że autor pokazał jakies dziwaczne środowisko ludzi dziedzicznie obciążonych. Czy to ma być „druga Ameryka”?

Tę można znaleźć dopiero w dziejach upadku rodziny Lesterów, w jednym z dwu zepchniętych na dalszy plan opowiadań... „Na dwadzieścia mil wokoło nie było farmiera, który by potrzebował najmniaka, ponieważ wszyscy znajdowali się w położeniu nielepszym, niż Jeeter, a niektórzy nawet mieli się gorzej...” Zupełnie inne rygory rządzą tym opowiadaniem, niż pozostałymi. Opowiadacz przerasta tu swoich bohaterów, wychodząc poza trywialne, naturalistyczne notowanie faktów: wie on, że system uprawy roli jest przestarzały, potrafi wytumaczyć językiem nauki twarżosie czarnego dębu karłowatego, zreszcie wyraża nurtujące głównego bohatera poczucie krzywdy („Wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego nie ma i nigdy nie będzie miał. Nie było nikogo, koby mógł odpowiedzieć mu na to pytanie...”). Słowniki opowiadacza zawiera słowo „entuzjazm” i prymitywną może, ale w sąsiedztwie głównych opowiadań nieoczekiwaną metaforę, „serce”. Opis doliny Savannah jest tak syntetyczny, jak opis doliny Nilu w „Farnonie” Prusa. Dobór faktów tu opisywanych też kontrastuje z obrazem świata poprzednio omówionych opowiadań: Towarzystwo Pożyczkowe, Bank — chwilami czytelnik czuje się jakby w atmosferze balzako-wskiego realizmu.

Ponieważ jednak „dzieje upadku rodziny Lesterów” znajdują się na dalszym planie — nie nadają, niestety, tonu całości, nie mówią dostatecznie głośno rzeczywistej prawdy o Ameryce. Sąsiedztwo tej powieści z innymi, bardziej narzucającymi się czytelnikowi — zmienia nawet jej sens. Tak się stało np. ze starym samochodem-gruchotem Jeetera. Na te historii rodziny Lesterów mógłby być traktowany, jako realny symbol jej upadku. Ponieważ jednak w części naturalistycznej poznaliśmy się ze zdolnościami Duda’a w kierunku demolowania najnowszych maszyn — więc i tu nie jesteśmy pewni: może to po prostu jeszcze jeden dokument jego kretynizmu?

Jeszcze inna jest powieść Lova o jego małżeństwie z Pearl. Operuje ona skomplikowaną, obcą reszcie opowiadań introspekcją i przeciwstawianiem brutalnych obyczajów seksualnych wysubtelnieniu uczucia. Dla czytelnika wstrząsem jest odnalezienie w takiej powieści, jak „Droga tytoniowa” — zdania (mówi jej Lov!): „...nie ma ładniejszego widoku niż jej niebieskie oczy wczesnym rankiem, zanim słońce jeszcze stanie wysoko, bo później było w nich za dużo światła. Zresz-

ta i przez cały dzień były piękne”.

Zakorzenie całej powieści brzmi dość zagadkowo. Czytelnik nie wie jak postąpić z takim zdaniem, które wygłasza po tragicznej śmierci rodziców Duda: „Może uda mi się zebrać belę z akra, jak chciał ojciec?”. Czy znaczy to: „...a więc znów zaczyna się od początku ta sama ponura historia”? — czy też: „...mimo wszystko Duda, taki jaki jest, głupkowaty Duda, wytrwa na swej ziemi aż do czasów, które przyniosą wyzwolenie wciąż stojącym farmerom z doliny Savannah”? „Tarapaty w lipcu” bardziej usprawiedliwiają tytuł: „Druga Ameryka”. Historia lynchu, dokonanego na murzyńskim chłopcu, radykalnie kompromituje obyczajne prawne cywilizowanego podobno społeczeństwa. Autor i tu jednak zaciemnia sens zdarzeń, dopuszczając możliwość ich podwójnego wytłumaczenia. Jest to wada tym większa, że „Tarapaty w lipcu” są powieścią z tezą (wbrew temu, co się czyta na ogół w prasie literackiej o powieści amerykańskiej). W takim wypadku stawia się ostrzejsze wymagania co do jednoznaczności rozgrywanej się akcji.

Chłopiec murzyński Sonnie Clark pada ofiarą prowokacji, mającej konkretny cel polityczny. Zostaje oskarżony o zgwałcenie białej dziewczyny i następnie zynchowany. Wielu uczestników potwornej „polowania na Murzyna” nie wierzy w jego winę: jest ona tylko pretekstem, służącym do wyładowania nienawiści rasowej i wszelkich najbliższych instyktów. Najlepszym dowodem tego są bezprawia i gwałty, dokonywane „przy okazji” na ludności murzyńskiej. Jaskrawy kontrast zbrodnicyzmu tłumy — i niewinnego, opuszczonego nawet przez sterroryzowanych współplemieńców chłopca — ułatwia autorowi zmobilizowanie opinii czytelnika przeciw lynchowi i w ogóle przeciw rasizmowi.

Istnieje jednak możliwość innej jeszcze interpretacji. Potępienie lynchu odbywa się w tej powieści przede wszystkim dzięki wykazaniu niewinności Clarka. A gdyby był on winny? Czy wtedy należałoby lynch usprawiedliwić? W tym duchu wypowiadają się nawet niektóre postacie utworu, epizodyczne co prawda, ale przedstawione dodatnio, co nadaje ich słowom pewną wagę. Sam autor milczy na ten temat. Nie sądzę, by miał jakiegokolwiek wątpliwości — ale powieść nie powinna zostawiać tak zasadniczych niedomówień. Lynch jest zawsze tylko morderstwem i nigdy nie może być uważany za akt jakiegś, zbyt surowej czy zwyrodniałej, ale jednak sprawiedliwości.

„Autor, wybierając łatwiejsze rozwiązanie i stwarzając w ten sposób możliwość dwójakiej interpretacji osłabił wymowę swej tezy, wypowiedzianej przez usta szeryfa Jeffa: „To powinno raz na zawsze położyć kres lynchowaniu Murzynów”. „Tarapaty w lipcu” znane były jeszcze przed ukazaniem się wydania książkowego — jako „Awantura w lipcu”, drukowana w odcinku powieściowym „Życia Warszawy”. Powieść mająca mało kwalifikacji na odcinek w czasopiśmie — wiele zyskuje przy czytaniu w całości, tym bardziej, że tłumaczenie uległo bardzo potrzebnej rewizji.

Jan Józef Lipski

Jerzy Kwieciński

Kronika kulturalna

NAGRODY ZA PRZEKŁAD

Ogłoszony przez Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej konkurs na najlepszy przekład prozy radzieckiej wydanej w latach 1944 — 1948, został rozstrzygnięty. Sad konkursowy pod przewodnictwem Jarosława Iwaskiewicza przyznał następujące nagrody. Pierwszą nagrodę w sumie 100 tys. złotych — Jerzemu Jędrzejewiczowi za przekład „Dalekich lat” Pautowskiego i „W okopach Stalingradu” Niekrasowa. Drugą nagrodę — 75 tys. złotych Władysławowi Brogniewskiemu za przekład „Drogi przez mekę” Aleksiego Tołstoja. Trzecią nagrodę — 50 tys. złotych A. Sondeckiemu za przekład „Dzینگs Chana” W. Jana.

Wyróżnione zostały: Bilskiej — „Dziecinostwo” Gorkiego, Jerzego Pomianowskiego — „Poeta” Kapiljewa, Klonowskiego — „Szosa Wołokolamska” Beka, Jerzego Putramenta — „Czapajew” Furmanowa, Pawła Hertz — „Upadek Paryża” Erenburga.

NAGRODY ZA UTWOR POETYCKI

Ogłoszony przez Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej przy współudziale Ministerstwa Kultury i Sztuki konkurs na utwor poetycki o przyjaźni polsko-radzieckiej zakończył się przydzieleniem przez sąd konkursowy następujących nagród. Pierwszą nagrodę — 100 tys. złotych Ryszardowi Dobrowolskiemu za wiersz „Generał Walter”. Drugą nagrodę — 75 tys. złotych Stanisławowi Strumph Wojtkiewiczowi za wiersz „Ballada o kubku”. Trzecią nagrodę — 50 tys. Leopoldowi Lewinowi za wiersz „Nad grobem żołnierza radzieckiego”.

Dwie czwarte nagrody po 35 tys. złotych Włodzimierzowi Słobodnikowi za wiersz „Pod jednym płaszczem” oraz Danucie Janiszewskiej za „Toast 1 Maja”.

Poza tym wyróżniono Adama Włodką „Przyjaźnieli uśmiech”, Klemensa Oleksika „W styczniu 1945” oraz K. A. Jaworskiego „Testament”.

WYSTAWA RYSUNKÓW I LITOGRAFII WILLIAMA GROPPERA

W Warszawie w Domu Wojska Polskiego została otwarta wystawa znanego grafika amerykańskiego Williama Groppera, artysty, który — jak powiedział minister Dybowskiego na otwarciu wystawy — „do walki o pokój zmobilizował cały swój talent, całą swoją pasję twórczą i satyryczną”.

Rysunki satyryczne Groppera są wymierzone przeciw rasizmowi i kapitalistycznemu wyzyskowi człowieka pracy. Satyra jego demaskująca kulisy życia społecznego i politycznego USA, jest orzdem postępowych sił w Ameryce.

Gropper prócz satyry społecznej i politycznej wystawił prace wykonane w czasie pobytu w Polsce, których tematem są osiągnięcia naszego odbudowującego się kraju.

DNI SMETANY W POLSCE

W 65 rocznicę śmierci twórcy muzyki czeskiej Fryderyka Smetany od 25 bieżącego miesiąca rozpoczęły się w Polsce uroczyste otwarte koncerty symfoniczne w Filharmonii Warszawskiej, „Dni Smetany”.

Twórczość Fryderyka Smetany (1824—1884) przemawia po dziś dzień zromualim językiem. Smetana stworzył muzykę i operę narodową, „Sprzedana narzeczona” i „Pocałunek” są pierwszymi czeskimi operami ludowymi. Utwory symfoniczne, kameralne i fortepianowe oraz opery i chorały są dowodem jak nierozdzielnie związana jest realistyczna twórczość Smetany z

SPÓŁDZIELNIA WYDAWN.-OSWIAT. „CZYTELNIK” NOWOŚCI

<p>KLUB DOBREJ KSIĄZKI KAZIMIERZ BRANDYS SAMSON. ANTYGONA str 390 KDK</p>	<p>KLUB DOBREJ KSIĄZKI KAZIMIERZ BRANDYS TROJA MIASTO OTWARTE str. 216 KDK</p>
<p>BIBLIOTEKA W PRENUMERACJE MULK RAJ ANAND WIELKIE SERCE Tłum. E. Fiszer str. 266 BWP</p>	<p>KLUB DOM I ŚWIAT MARTA ARNAUD DARY BIAŁYCH LUDZI Tłum. M. Stuihńska str 183</p>
<p>STEFAN ŻEROMSKI WIATR OD MORZA i inne utwory str 376 zł 450</p>	<p>KLUB DOM I ŚWIAT ANNA KOWALSKA OPOWIADANIA GRECKIE str 140 zł 160</p>
<p>JURIJ TYNIAWOW PODPORUCZNIK KIŻE Tum. Z. Fedeckl T. Mongird str 82 zł 100</p>	<p>JÓZEF KJELGREN LUDZIE PRZY MOŚCIE Tłum. A. Załuska str 257 zł 280</p>
<p>WACŁAW RZECZĄCZ ZIELONA KSIĄŻ</p>	

FILIP ISTNER

PODROŻ PO FINLANDII

Samolot znajdował się już w powietrzu drogi ze Sztokholmu do Helsinek, gdy siedzący obok mnie zażywny pasażer dokończył śniadania, poczęstował mnie amerykańskim papierosem i wszczął rozmowę. Dowiedziałem się niebawem,

Ażeby wzmocnić walkę z robotnikami do rządu wciągnięty zostaje przewodniczący Centralnego Zjednoczenia Związków Zawodowych reformista Hunnonen, posiadający sławę zdecydowanego wroga Związku Radzieckiego, zna-

Europie o tak indywidualnym charakterze jak stolica Finlandii — Helsinki. Oryginalność Helsinek nie polega jednak wcale na zabytkach historycznych. To, co uderza i zachwyca, nie jest pokryte dostojną patyną starości. Nie ma tu wież gotyckich i wąskich średnio-wiecznych uliczek, starych dzielnic i pamiątkowych domów.

Urok Helsinek polega na młodości. Są one jednym z najpóźniej wybudowanych miast w Europie. Rozwinęły się niezwykle szybko i stały się stolicą Finlandii dopiero w XIX wieku. Do tej pory stolicą było Turku. Helsinki posiadają dziś 400 tysięcy mieszkańców, skupiają więc dziesiątą część ludności Finlandii.

Wiele godzin krążyłem po czystych, szerokich, rozplanowanych nowoczesnie ulicach Helsinek, podziwiając piękno architektoniczne miasta. Do najspanialszych budowli nie tylko chyba w Finlandii ale w całej Europie należy nowy gmach parlamentu, którego budowa została zakończona w roku 1930. Z czerwono-szarego granitu fińskiego, o frontonie wspartym na 14 kolumnach — czyni naprawdę imponujące wrażenie. Nie mniej piękne jest wnętrze: białe marmurowe schody i wspianała sala posiedzeń, wyposażona w najnowocześniejsze urządzenia. Nie wiem, czy gdziekolwiek poza stolicą Finlandii istnieją tak doskonale automatyzowane urzędnicy dla przyspieszenia głosowania. Na stoliku przy każdym fotelu poselskim znajdują się dwa guziki elektryczne. Jeden z napisem: tak — drugi: nie. Przy

nowobudujących się domów. Obecnie w całym Helsinkach buduje się zaledwie od 8 do 10 domów. Z większych budowli mój znajomy wymienia tylko hotel. Budowa ta podlegająca jest konieczności, gdyż najbliższa Olimpiada ma się odbyć w Helsinkach.

A jak w tym pięknym nie zburzonym przez wojnę mieście mieszkają robotnicy?

Trudno w to uwierzyć, ale jednak tysiące ludzi mieszka tu w podziemnych schronach przeciwgazowych, które pozostały z czasów wojny.

W jednym mieszkają całe rodziny, w innych tylko samotni.

Taksówka podwozi nas na drugą stronę wybrzeża, o trudnej do wymówienia dla Polaka nazwie Völvuorenanta. Zatrzymuje się przed jakimś wzgórzem, na szczycie którego znajduje się piękny budynek. Mieszczą się tutaj laboratoria dla badań chemicznych. U podnóża — dawny schron — dziś barak mieszkalny.

— To tutaj — mówi szofer.

Nie kryje swojego zdziwienia.

— Tak, tymi drzewczkami...

Dopiero teraz zauważyłem małe żelazne drzewczki prowadzące do obetonowanej jaskini. Metne światło małej żarówki w korytarzu. W nozdrza uderza zatechłe, smrodliwe powietrze. Okien nie ma tu wcale. Urzędnik przy okienku pobiera opłaty za nocleg w wysokości 40 marek od osoby.

— Ile osób mieszka w tym schronie — zapytuje go.

— Około 120.

— Czy wszystkie miejsca zajęte?

— Nie jesteśmy w stanie dać schronienia wszystkim, którzy do nas się zgłaszają.

Przez wąski korytarz wchodzi do baru.

Po obu stronach głębokiego tunelu stoją dwupiętrowe tryzce. Powietrze jest ciężkie i mimo, że nie ma tu żadnego ogrzewania, jest bardzo ciepło. Ludzie są w koszulach, albo rozebrani do połowy. Część mieszkańców skupiła się przy stole, inni krążą po schronie. Wrócili dopiero z pracy. Przeważnie są to robotnicy portowi.

Są zresztą i inni — ludzie różnych zawodów i różnego wieku. Są i studenci. Synowie biednych chłopów, lub robotników, którzy uparli, mimo przeszkód, jakie stawia im kapitalistyczne państwo, postanowili zdobyć wiedzę.

Są tu — o ironio! — robotnicy budowlani, którzy budując wielopokojowe wille dla bogaczy sami nie mają gdzie złożyć głowy.

— Czy nie ma żadnych widoków na otoczenie mieszkania? — pytam jednego z nich.

— Skąd? — odpowiada pytaniem. — Któż by o nas myślał?

W baraku panuje nieznośne gorąco i zaduch. Rozchodzi się zapach chloroformu. Kilkadziesiąt osób słoczonych, spowienianych, pozabawionych ludzkich praw...

*

Z postępowymi pisarzami Finlandii zetknąłem się w okresie trwania Kongresu Zwolenników Pokoju w Helsinkach, na spotkaniu urzędowym dla bawiących tam właśnie pisarzy radzieckich. Najwybitniejszym autorem dramatycznym Finlandii jest dziś — u nas prawie nieznaną — Hella Maria Wuolijoki. Sztuki jej znane są, cenione i grane daleko poza granicami kraju, głównie w państwach skandynawskich, poza tym w Związku Radzieckim, w Niemczech, we Francji.

Pierwszą jej sztuką „Koidula”, którą wystawiła pod pseudonimem Juha i Tervapaa, została napisana w roku 1932. Wuolijoki miała już wówczas 46 lat i bogatą za sobą przeszłość. Brała aktywny udział w życiu gospodarczym kraju i była dyrektorem wielu wielkich towarzystw przemysłowych, między innymi „Towarzystwa Fińskiej Nafty”. Sławę przynosi jej druga z kolei sztuka „Niskavuoreni naiset” — „Kobiety z Niskavuori” napisana w 36 roku.

Niezwykle ciekawe jest życie tej pisarki, pochodzącej przecież ze środowiska obszarniczego i wieloma niemi powiązanej ze społeczeństwem kapitalistycznym.

W okresie okupacji Wuolijoki mimo, że zbliża się do sześćdziesiątki, bierze aktywny udział w walce z hitleryzmem. Za przechowywanie radzieckiej spadochroniarce skazana zostaje na dożywotnie więzienie. Po wojnie obejmuje stanowisko naczel-

no dyrektora Yleisradio — fińskiego radia. Przed kilkoma miesiącami Wuolijoki — mimo sprzeciwów całego społeczeństwa, wśród którego cieszy się dużą popularnością — za jawnie okazywaną sympatią wobec Związku Radzieckiego została usunięta ze stanowiska naczelnego dyrektora Yleisradio.

Również i Erkki Vala, jeden z wybitniejszych prozaików fińskich, który przemawiał w czasie spotkania, miesiąc temu został usunięty z kierowniczego stanowiska w radio fińskim. Erkki Vala — brat najwybitniejszej poetki fińskiej zmarłej w czasie wojny — Katrin Vala, urodzony w Japonii, jest członkiem komunistycznej partii i autorem wielu powieści ukazujących eksploatację ludu fińskiego. Kryptofaszyści fińscy nie mogą mu darować jego książek napisanych podczas wojny. Książkę tę pod tytułem „Dwa oblicza Finlandii” Erkki Vala wydał pod pseudonimem Artorhi w 1944 roku w Sztokholmie. Ukazuje ona bez obłonek sprawców tragedii fińskiej, którzy pchnęli naród na drogę współpracy z hitleryzmem i dwukrotnie pogwałcili układy ze Związkiem Radzieckim. Wielu spośród ludzi zdemaskowanych przez Vala jako zbrodniarzy wojenni — dziś znowu znajduje się u władzy.



W tych dniach bawiła w Warszawie Hella Wuolijoki, znakomita antyfaszystowska pisarka fińska, autorka wielu wybitnych sztuk teatralnych.

Trzeci spośród fińskich pisarzy, poznanych przeze mnie na przyjęciu, to młody, świetnie zapowiadający się pisarz proletariacki — Turtiainen Arvo. On to właśnie opowiadał nam o niesłychanie trudnych dziś warunkach pracy uczonego pisarza w państwie kapitalistycznym, o losie pisarza, który usiłuje dać obraz społeczeństwa zgodny z rzeczywistością, który nie chce sprzeniewierzyć się wyznawanym ideałom komunistycznym.

Filip Istner



Pracujące kobiety fińskie

że jest współwłaścicielem fabryki celuloidowej w Tampere. Skarżył się na interesy. Twierdził, że jest coraz gorzej, coraz trudniej znaleźć nabywców. „Finlandia — mówi — jest termometrem ogólnej koniunktury gospodarczej. My pierwsi odczuwamy zawsze zaburzenia w systemie światowej ekonomiki. Przemysł drzewny, który stanowi podstawę naszej gospodarki szybciej reaguje aniżeli jakikolwiek inny na zaburzenia. Tak było podczas kryzysu przed drugą wojną światową. U nas kryzys rozpoczął się już w roku 1929. A i teraz odczuwamy wyraźnie jego przejawy.

Zapytuje o strajki. Pytam jak to właściwie było w Kemi, gdzie policja strzelała do wracających z wiecu robotników.

— Strajki? — pyta przemysłowiec. — Ależ to był ukartowany susek. Czy pan nic o tym nie wie? Przecież pan rozumie, że skoro nie znajdujemy nabywców na nasze towary, zmuszeni jesteśmy obniżyć cenę, aby móc konkurować na rynkach zagranicznych. Nie można tego dokonać inaczej, jak przez obniżenie płac. Wie pan przecież, że u nas rządzi socjaliści. Ale i oni doskonale rozumieją, że nie ma innego wyjścia. Tylko komuniści ciągle wicherzą. Oni uknuli spisek przeciwko demokracji. Słyszał pan, co na ten temat oświadczył Tanner? Albo, jeśli pan nie ma zaufania do Tannera, to mogę panu przytoczyć przemówienie naszego premiera Fagerholma. To przecież socjaldemokrata. Tak, to jemu właśnie zawdzięczamy, że ten niebezpieczny strajk został złamany, że uniknęliśmy groźby komunizmu. Dziś rano telefonowano mi do Sztokholmu, że ostatni robotnicy portowi wrócili do pracy. Porządek został przywrócony.

Samolot ląduje już. Uprzejmi urzędnicy sprawnie i szybko zająwają formalności paszportowe. Oczekujący mnie na lotnisku dziennikarz fiński potwierdza informacje uzyskane w samolocie. — Tak, dziś właśnie, 16 września, zakończył się długotrwały strajk robotników portowych. — W aucie towarzyszy mój rozkłada przedemna „SUOMEN SOCIALDEMOKRATTI”, centralny organ rządzący w Finlandii prawnicy socjaldemokratycznej. Ton artykułu przypomina wypowiedzi fabrykanta z Tampere. Pismo donosi triumfal-

ny przywódca przedwojennej faszystowskiej organizacji „bratersstwa broni” Unto Varionen. Tak zrekonstruowany rząd ogłosił, że strajk w Kemi jest nielegalny i zapowiedział zastosowanie najbardziej bezwzględnych środków w zwalczaniu strajkujących.

Strajk w Kemi stał się sygnałem do strajków w całej Finlandii. Obok robotników przemysłu drzewnego, stają transportowcy, robotnicy budowlani, pracownicy przemysłu spożywczego. Pod koniec lip-



Akseli Gaben-Kabela — ilustracja do „Kalewali”

ca liczba strajkujących przekracza w Finlandii 70 tysięcy osób.

Do Kemi przybywają oddziały policji i wojska z okolicznych garnizonów. Napiecie rośnie z dnia na dzień i wreszcie nadchodzi pamiętny 18 sierpnia.

O 2 kilometry od Kemi odbyło się tego dnia zebranie robotnicze. Po zebraniu na wracających robotników rzuca się policja. Padają strzały. Na bruku dwoje zabitych i dwudziestu rannych.

Fala oburzenia, która przeszła przez całą Finlandię, wrażenie, ja-

głosowaniu poseł naciska odpowiedni guzik i momentalnie na szklanej gablotce umieszczonej przed stołem przewodniczącego parlamentu automatycznie ukazują się cyfry wskazujące, ilu posłów głosowało za wnioskiem, ilu — przeciw, ilu — wstrzymało się od głosowania.

Oglądając te niezwykle udoskonalenia pomyślałem, że prawdziwa demokracja nie jest niestety tylko zwykłą funkcją postępu technicznego...

Gmach parlamentu, podobnie jak i budynek Muzeum Narodowego — dwa reprezentacyjne budynki, mieszczą się przy ulicy, która obecnie w dalszym ciągu nosi nazwę entuzjastycznego współpracownika hitlerowskich Niemiec — marszałka Mannerheima. Fakt ten nie jest pozabawiony wymowy...

Niezwykle piękno architektoniczne Helsinek dopełnia samo położenie tego miasta, oblanego z trzech stron wodami Zatoki Fińskiej. Dobrze ukształtowane wybrzeże pozwoliło rozwinąć się portowi. W tej chwili w porcie niewiele jest okrętów. Morze jest spokojne i chociaż jest już jesień, przegląda się w nim pogodnie i czyste niebo.

Światło elektryczne, neony, wystawy sklepowe pełne różnorodnych towarów, zgiełk, światła na skrzyżowaniach, przelewające się ulicami śródmieścia tłumy — normalny obraz wielkomiejski. Warszawiakowi rzuca się w oczy brak



Rodzina fińska

nę, że „we wszystkich portach i fabrykach porządek został przywrócony”.

Deszcze zmyły już rdzawe plamy krwi z chodników. Życie w mieście czyni pozory normalnego. Tylko co krok spotykam patrole policyjne. Policjanci, odziani w granatowe mundury, żywo przypominają naszych przedwojennych stróżów bezpieczeństwa.

Od morza dmie ostry wiatr. W porcie stoi kilka zakotwiczonych statków. W pobliżu doków leżą ogromne wwały drzewa, wszędzie mnóstwo składów desek i okrągłaków. Kemi jest głównym ośrodkiem przemysłu drzewnego w północnej Finlandii.

Potężny ruch strajkowy, który wstrząsnął całą Finlandią rozpoczęła się właśnie tutaj. Na tych ulicach, w czasie dramatycznych zajęć 18 sierpnia, policja strzelała do robotników.

kie wywołały strzały w Kemi w opinii demokratycznej świata, zmusiły rząd Fagerholma do wycofania się z zainicjowanych prowokacji. Rząd nakazuje cofnięcie obniżki płac i zwala winę zajścia wyłącznie na kapitalistów i policję. Do Kemi przybywa specjalna komisja, w skład której wchodzi przedstawiciel Komunistycznej Partii Finlandii, Związku Demokratycznego Narodu Finlandii oraz Towarzystwa Przyjaźni Fińsko-Radzieckiej. Komisja sta stwierdziła jednak, że pełną odpowiedzialność za zajścia w Kemi w niemiernym stopniu niż przedsiębiorcy i policja ponosi rząd — głównie zaś minister spraw wewnętrznych — Simonen.

*

Obraz Helsinek uzupełnia moja wiedza o Finlandii, wyniesiona z bezpośredniego zetknięcia się z Kemi. Niewiele jest chyba miast w



Renifery

BALET GRUZIŃSKI W POLSCE



Państwowy Zespół Tańca Ludowego Gruzińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, który bawił w Polsce, pokazał publiczności polskiej tańce gruzińskie: ludowe (obrzędowe, miłosne i wojenne) oraz tak zwany „folklor miejski” — tzn. tańce tańczone w stolicy Gruzji Tbilisi i innych miastach.

Zespół tańeczny, który gościliśmy — był zespołem stosunkowo młodym, istniejącym niespełna cztery lata.

Kierownik artystyczny Zespołu — laureat Nagrody Stalinowskiej ILIKO SUCHISZWILI — to nie tylko świetny organizator i taneczny — ale zarazem i badacz historii tańca ludowego.

Jest on na przykład odkrywcą słynnego tańca „Samaja” — tańca znanego we wczesnym średniowieczu. Taniec ten zaginął później zupełnie. Iliko Suchiszwilli zrekonstruował go na podstawie odkrytych przez siebie w starym górkim klasztorze — fresków.

„Samaja”, taniec poemat, daje współkierownicze zespołu, laureatce Nagrody Stalinowskiej — NINO RAMISZWILI — okazję bliźniącą całą skalą wielkiego talentu choreograficznego.

Solistami zespołu liczącego czterdzieści osób są: Marina MCHUIDZE, Givi SURWILADZE, W. MIERABISZWILI, W. KUPARADZE, A. CZACHAWA, W. KAŁANGADZE, G. SIMONISZWILI, Otar SURWILADZE, M. PIROCHAŁAWISZWILI i.

Niepoślednią rolę w występach zespołu odgrywa świetny baryton — BATU KRAWISZWILI, solista Państwowego Teatru, Opery i Baletu w Tbilisi.

AWW



W poprzednim 48 (261) numerze „Odrodzenia”: Jerzy Borejsza: Ludzie za mgłą. — Tadeusz Urgan: Gawęda na moście Poniatowskiego, Meldunek. — Siemion Kirsanow (przełożył Marian L. Bielicki): Stalingrad. — Jerzy Grygolunas: Łąbędzie jezioro. — Aleksander Rymkiewicz: Siedemdziesiąt siedem miasteczek. — Pokój zwycięża. — Mikołaj Wirta (przełożył z rosyjskiego Tadeusz Mongird): Marszałek Rokossowski pod Stalingradem. — Julian Tuwim: Z notsu. — Aleksander Hawryluk (przełożył Wincenty Rzymowski): Bereza. — Stanisław Zieliński: Piękna w oko. — Tadeusz Kubiak: O doktorze, ogrodnicze i poecie. — List do Redakcji: Władysław Błachut: Pochwała listonosza. — Dwie książki o ludziach pracy: Zofia Dąbkowska: „Górnicy” Jackiewicza, Wojciech Natanson: „Nr 16 produkuje” Wilczka. — Stanisław Marczak-Oborski: Nareszcie dobra „Bajka”. — Janusz Bogucki: Wstęp do poznańskiej rewii grzechów i cnót szkolnictwa plastycznego. — Jerzy Broszkiewicz: Kształt miłości. — Klub „Odrodzenia” przedstawia swych autorów i dzieła, które członkowie Klubu otrzymują w ciągu roku 1950: Adolf Rudnicki: „Palczka”; Siergiej Golubow: „Narodziny epoki”; Fritz Erpenbeck: „Rycerze przemysłu”; Piotr Pawlenko: „Stepowe słońce”; Louis Aragon: „Komuniści”; Jerzy Andrzejewski: „Wielkie przygody Jasia z Temelina”; Albert Maltz: „Człowiek na drodze”. — 22 ilustracje. — 8 stron.